

DZIS i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Cena 60 gr.

Rok VIII

Warszawa, 27 kwietnia 1952 r.

Nr 17 (335)

Andrzej MICEWSKI

MONSIEUR DE TALLEYRAND

STOSUNEK do polityki, jako do działalności realizującej praktycznie cele ideowe, wydaje się, powinien być rozpatrywany zawsze co najmniej w dwu płaszczyznach: z punktu widzenia moralności działania oraz z punktu widzenia jego skuteczności. Moralność i skuteczność, oto co jest najistotniejsze dla działania politycznego. Polityka nie spełniająca warunku skuteczności jest tak samo zła, a może być nawet niemoralna w skutkach społecznych, jak polityka gwałcąca system etyczny, w naszym wypadku etykę katolicką.

Czołowa postać polityki francuskiej i w ogóle europejskiej, na przestrzeni ponad 50 lat na przełomie XVIII i XIX stulecia Charles Maurice de Talleyrand, człowiek, który był przyczyną równie wielkiego zgorznięcia, jak i uznania współczesnego sobie i następnych pokoleń, dbał tylko o jedną z poprzednio wymienionych zasad, dbał o skuteczność. Na czym polegała rola Talleyranda, a przede wszystkim, gdzie tkwiło źródło jego powodzeń politycznych w ciągu pół wieku w różnych systemach rządowych, w bardzo niespokojnych czasach, kiedy rodziła się nowa epoka mieszczańska i liberalistyczna? Na to pytanie dawało odpowiedź wielu biografów Talleyranda.

Nowe, ciekawe i wydaje się słuszne światło na ten problem rzuca historiografia radziecka w ciekawej książce znanego już naszym czytelnikom biografą Napoleona, Eugeniusza Tarle, pt. „Talleyrand” *

Eugeniusz Tarle w następującej syntezie zawiera swą ocenę losów i powodzeń polityki Talleyranda. „Talleyrand był dyplomata pnącej się ku górze burżuazji, rozpoczynającego się okresu jej supremacji, zwycięskiej ofensywy kapitalizmu i upadku ustroju feudalno-szlacheckiego i on to właśnie, Talleyrand zorientował się pierwszy w jakim kierunku trzeba zmienić stare dyplomatyczne nawyki” (str. 11).

Upatruje więc autor nowej biografii Talleyranda przyczynę sukcesów jego polityki w trafnym zrozumieniu kierunku procesów społecznych, w działaniu zgodnym z tym kierunkiem. Teza ta jest przestawiana i niewątpliwie w książce Eugeniusza Tarle udowodniona.

Autor formułuje dwie zasady, które przyswlecały polityce Talleyranda i stanowiły fundament jego zwycięstw:

„Po pierwsze: utrzymywanie lub przywrócenie we Francji ustroju feudalnego z końca XVIII i początku XIX stulecia jest absolutnie niemożliwe.

Z tego też względu Talleyrand zdradził monarchę Ludwika XVI i przeszedł w roku 1789 na stronę rewolucji burżuazyjnej, a następnie po raz drugi zdradził Bourbonów i po zwycięstwie Rewolucji

Lipcowej 1830 roku opowiedział się po stronie lipcowej monarchii burżuazyjnej Ludwika Filipa.

Po drugie: stworzenie światowej monarchii za pomocą wojen zabobnych, podporządkowanie wszystkim państw europejskich francuskiemu samowładcy jest przedsięwzięciem nieziszczalnym, absurdalnym, które bezwzględnie musi się zakończyć dla Francji przegraną i katastrofą. Dla tego też powodu zdradził on Napoleona najpierw potajemnie (w latach 1808-1813), a następnie jawnie (w roku 1814) i przeszedł na stronę wrogów cesarza.

Z punktu widzenia realnej obecnej sytuacji historycznej obie te podstawowe zasady polityki Talleyranda były całkowicie słuszne, co zostało potwierdzone przez bieg wypadków.”

Trudno by się natomiast zgodzić z historiografią burżuazyjną, której wyrazicielem była w pewnym sensie i zakresie, między innymi wydana przed 1939 rokiem ciekawa książka Duff Coopera, który ulegając urokowi samej postaci politycznej Talleyranda, chciał w nim widzieć świadomie ideowego męża stanu, rozgrzeszając go poniekąd z jego metod i praktyk politycznych. Nie sposób też przyjąć tezy, że motywy działalności politycznej Talleyranda można i należy wyprać zupełnie z jakiegokolwiek czynnika ideowości.

Eugeniusz Tarle w swojej biografii Talleyranda, bardzo ciekawie rysuje sylwetkę tego arystokraty, który rozumie konieczność rewolucji, popiera ją, ale jego uczucia są od niej daleko, emocjonalnie jest mu ona obca. Wiele analogii i uśmiechów może dziś budzić owe znane powiedzenie Talleyranda: „Kto nie żył przed 1789 rokiem, ten nie zaznał całej rozkoszy życia”. Ale ten sam Talleyrand zdradził porządek sprzed roku 1789 i przez całe życie pozostał w tej zdradzie konsekwentny (o ile właściwe jest na tym miejscu używanie słowa zdrada).

Biografowie Talleyranda na ogół zgodni są w ocenie jego wypowiedzi i osoby przypisując mu świadomą lub nieświadomą tendencyjność a dla historii rolę zdecydowanie wtórną i pomocniczą. Na zasadzie jednak znajomości faktów można chyba zaufać szczerości wywodów Talleyranda do poety Lamartina, zawierających właśnie coś w rodzaju jego „credo” ideowego: „Nie dałem nigdy złej rady żadnemu rządowi lub władcy. W chwili ich upadku nie dzieliłem jednak ich losu. Po katastrofie okrutnej potrzeba pilotów, którzy ocaliliby ofiary. Zachowuję przytomność umysłu i wiozę ofiary do portu. Mniejsza o to, który port staje się dla nich schronieniem”.

Tak pojęta ideowość, choć mało dla nas zrozumiała, niewątpliwie w lepszym świetle przedstawia stosunek Talleyranda do osobistych korzyści z polityki, ale o tym dalej.

W istocie rzeczy Talleyrand, później za Napoleona książę Benewentu, nie okazywał żadnej

głębszej ideowej przychylności nawet temu, co uważał za historycznie konieczne. Przekładem tu może być jego polityka za czasów restauracji Bourbonów, kiedy to Talleyrand dbał przy całym swoim realizmie i zrozumieniu konieczności społecznych bardziej o rewolucyjne pozory (sprawa trójbarwnego sztandaru), niż o rzeczywiste zachowanie i utrwalenie zdobytych rewolucji. Książę Benewentu przez całe życie raczej łagodził i ratował od wstrząsów panujący lub nowy porządek, niż zabiegał o to, by koło historii potoczyło się wprzód lub zawróciło. Oczywiście z tym wszystkim Talleyrand istotnie, co może wydawać się paradoksem, najczęściej konsekwentnie wspierał postęp, ponieważ rozumiał jego konieczność. Ale ponieważ go nie pragnął, więc mógł kolejno zdradzać rządy reakcyjne, postępowe i znów reakcyjne. Łagodzenie i unikanie wstrząsów, taka wytyczna jest może dobra dla dyplomaty na krótkim, określonym etapie — politykowi chcącemu coś zmienić i czemuś służyć na pewno nie wystarczy. Mimo to Talleyrand był wielkim politykiem i wielkim mężem stanu, ale wszelkie analogie byłyby bardzo niebezpieczne, bo przypadek księcia Benewentu był wynikiem wielu czynników, skomplikowanego i na pewno nie powtarzalnego w przebiegu rozwoju sytuacji historycznej, zdolności jej przewidzenia, a ponadto niezwykle wyrafinowania i umiejętności politycznych Talleyranda.

Nie jest jednak obojętne w jaki sposób Talleyrand zdradzał kolejne rządy i jakie z tego czerpał korzyści osobiste. Wchodzimy tu znów na płaszczyznę moralnej strony działania politycznego. Można sobie historycznie i psychologicznie tłumaczyć, dlaczego polityka dla księcia Benewentu nie była realizowaniem jakiegokolwiek prawdy ideowej, ale była po prostu bardzo zresztą trudnym i odpowiedzialnym snuciem intryg, wygrywaniem sprzeczności, wykorzystywaniem zbieżności, porządkowaniem rzeczywistości. Trudniej byłoby tłumaczyć metody. Polityka Talleyranda ma w sobie coś z techniki, jest zręcznym i subtelnym wprawieniem w ruch skomplikowanego mechanizmu, ale niewątpliwie brak jej czynnika twórczego, woli służenia i przekształcania a przede wszystkim brak jej miłości.

Trzeba było wyjątkowych okoliczności epoki i osoby Talleyranda, że mógł on tworzyć wielkie fakty, właściwie niczego nie kochając w sensie społecznym.

Niewątpliwie z tego braku miłości, z tego swoistego i tak charakterystycznego stosunku Talleyranda do polityki wywodzą się jego metody. Oczywiście gra tu rolę ten czynnik, że dostoyny książę Benewentu, który w młodości „wbrew swej woli został księdzem i później już mniej wbrew swej woli został biskupem” w Autun, znał zasady moralne jedynie ze słyszenia.

Bardzo bliski jest nam Eugeniusz Tarle, gdy w książce stwarza atmosferę bezwzględnej potępienia dla takich praktyk politycznych Talleyranda, jak działanie przy pomocy krętych zamaskowanych podstępów i branie pieniędzy, zarówno od tych, na których korzyść działał, jak i od tych, przeciw którym wymierzone było jego działanie. Niezmiernie istotne znaczenie ma z naszego punktu widzenia trośka autora biografii o to, by sukcesy życia Talleyranda i powodzenia jego słusznej linii politycznej nie przysłaniały nigdy ciemnych stron jego postępowania. A tak się niewątpliwie działo w piśmiennictwie burżuazyjnym poświęconym osobie Talleyranda.

Artykuł mój o Talleyrandzie na marginesie książki Eugeniusza Tarle nie jest oczywiście recenzją tej biografii radzieckiego historyka, gdyż recenzja taka domagała by się wykroczenia poza kompetencje publicysty politycznego, wymagałaby fachowej wiedzy historyka.

Chcę jednak zwrócić uwagę na pewne wątpliwości, które napotkałem patrząc na sylwetkę księcia Talleyranda zarysowaną przez Tarle. Mianowicie budzi wątpliwość z punktu widzenia realności psychologicznej, że głównym motywem postępowania Talleyranda była jedynie żądza zysku. Jest nie wątpliwie zasługą E. Tarle, że po trafił on na podstawie nowych nie uwzględnianych w dotychczasowej historiografii poświęconej Talleyrandowi dokumentach historycznych, przedstawić życiowy materializm tego polityka. Tarle pisze o mentalności Talleyranda: „Prze mijają Bourboni, Danton, Robespierre, Dyrektoriat i Bonaparte, ale majątki, pałace i franki (o ile są w złocie) pozostają”. Nie ulega wątpliwości, że tak właśnie myślał często książę Benewentu, zawsze zapobiegliwy o swą szkatułkę prywatną, o zapłatę za swe usługi polityczne. Jednakże byłoby niebezpieczne sprowadzać motywację działalności Talleyranda i jego ciągłe dążenie do władzy, jedynie do żądzy zysku, jaki można osiągnąć przez swą działalność. Tarle ujawniając w swej biografii, chyba po raz pierwszy tak obszernie i źródłowo, tę właśnie stronę sylwetki psychicznej Talleyranda, uwypuklił zdaje się może niedostatecznie strony inne, mimo, że faktem jest jedno, że poważną część swych za biegów poświęcił Talleyrand zdobywaniu pieniędzy. Zdobywał je, wykonując swe stanowisko urzędu we Ministra Spraw Zagranicznych zdobywał je w grze i hazardzie, zdobywał je w operacjach finansowych i handlowych.

Oczywiście postać Talleyranda jest niezwykle złożona, jak większość postaci wielkich ludzi, a właściwie, jak każdy człowiek w ogóle. Talleyrand żył i działał zbyt długo, by wszystkie etapy jego życia można było interpretować jednoznacznie. Dokonał on rzeczy tak wielkich z punktu widzenia politycznego, choćby na Kongresie Wiedeńskim, gdzie rozbiwszy anty

W NUMERZE m. in.:

A. ROGALSKI — Apologeci niemieckiego imperializmu

J. RADZIEJEWSKI — Zagadnienie doboru małżeńskiego w świetle psychologii

A. JOCHELSON — Biskup Nankier — wzór godny naśladowania

Z. BEDNORZ — Powroty i namiętności

W. WNUK — „Uwaga! Człowiek”. Uwaga! „Pokolenie”.

* E. W. Tarle, Członek Akademii Nauk ZSRR. „Talleyrand”. Książka i Wiedza, Warszawa 1951.

W MIESIĄCU PRZYJAŹNI POLSKO-NIEMIECKIEJ

ODPOWIEDŹ
redaktora naczelnego „Dziś i Jutro“

Bolesława Piaseckiego
na list przewodniczącego Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej
Otto Nuschke
wicepremiera Niemieckiej Republiki Demokratycznej

Pismo Przewodniczącego
Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej
Otto Nuschke — wicepremiera NRD
do redaktora naczelnego „Dziś i Jutro“
Bolesława Piaseckiego

WIELCE SZANOWNY PANIE

Z okazji miesiąca przyjaźni polsko-niemieckiej obchodzonego w Niemieckiej Republice Demokratycznej w kwietniu, pozwalam sobie w imieniu Zarządu Głównego C. D. U., jak i moim własnym, przekazać Panu, a w osobie Pańskiej zespołowi „Pax“, oraz za jej pośrednictwem wszystkim postępowym i miłującym pokój chrześcijanom polskim, najserdeczniejsze pozdrowienia i życzenia pogłębienia braterskiej łączności między naszymi narodami, oraz chrześcijanami obu naszych narodów.

Wiemy, że chrześcijanie w Polsce tak samo jak chrześcijanie w Niemczech w związku z groźnym niebezpieczeństwem wojny powstałym na tle polityki U. S. A. i ich pomocników stoją przed poważnymi decyzjami moralnymi, mianowicie przed decyzją przyłączenia swych sił do obozu pokoju lub oddania ich do dyspozycji obozowi imperialistycznemu. Tak jak my, powziął Pan decyzję, tak jak my świadomie uczestniczy Pan w obozie pokoju. Zwalcza Pan, podobnie jak my wszelkie próby polityki amerykańskiej oraz odzywającego imperializmu niemieckiego, posługiwania się płaszczykiem chrześcijańskim, oraz rzekomą obroną kultury zachodniej dla celów służących jedynie materialnym interesom nielicznych rodzin w krajach kapitalistycznych.

Mogę przy tej okazji ponownie zapewnić Pana, że C. D. U. jednomyślnie stoi na stanowisku układu zawartego między rządem Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, oraz Rządem N.R.D. w sprawie granicy pokoju na Odrze i Nysie. Mogę poza tym stwierdzić, że C. D. U. popiera punkty radzieckiego projektu traktatu pokojowego odnośnie zasad terytorialnych układu pokojowego z Niemcami. Takiemu stanowisku naszej partii dałem wyraz w przemówieniu z dnia 14.III. br. przed Izbą Ludową N. R. D.

W związku z tym chcę zapewnić, że C. D. U. wszelkimi dostępnymi siłami zwalcza rewizjonizm w Niemczech zachodnich. Wiemy, iż rewizjonizm ten jest wyrazem polityki wojennej.

Chciałbym prócz tego podkreślić nasze zadowolenie z racji nawiązania dyskusji na tematy ideologiczne między zespołem „Pax“ i C. D. U., co jest niezwykle korzystne dla obu stron. Obecność delegacji polskiej na naszej naradzie teoretycznej w Meissen była widocznym wyrazem właściwego stosunku chrześcijan do nowych zasad społecznych, tak z waszej, jak i z naszej strony. Należy ją traktować jako dalszy krok w kierunku uwolnienia chrześcijaństwa z więzów ideologii mieszczańkiej.

Proszę przyjąć pozdrowienia oraz zobowiązania wyteżenia wszystkich naszych sił w ramach obozu pokoju pod kierownictwem Związku Radzieckiego dla współdziałania w zapewnieniu pokoju w Niemczech, a tym samym — pokoju światowego.

Z wyrazami najgłębszego szacunku
OTTO NUSCHKE

WIELCE SZANOWNY PANIE

Skierowany na moje ręce list Pana do Zespołu „Pax“ i do wszystkich postępowych, miłujących pokój, katolików polskich został odczytany jako wydarzenie dużej wagi w ramach miesiąca przyjaźni niemiecko-polskiej.

Oczy duchownych i świeckich katolików, uczestniczących aktywnie w walce o pokój, skierowane są dziś na Niemcy, jako na ten kraj, w którym decydują się losy pokoju dla Europy, a tym samym dla całego świata. Wiemy, że w Niemczech zachodnich trwa inspirowana i kierowana przez polityków Bloku Atlantyckiego kampania rewizjonistyczna i wojenna. W tej wrożej pokojowej akcji biorą, niestety, udział przedstawiciele katolików i wyższego duchowieństwa. W tej sytuacji stanowisko Unii Chrześcijańsko - Demokratycznej w NRD, sformułowane najbardziej miarodajnie w Pańskim liście do naszego zespołu, stanowisko, wyrażające uznanie i trwałe poparcie układu zawartego między Rządem Polskim i Rządem NRD w sprawie granicy na Odrze i Nysie, jest w przekonaniu katolików polskich słuszną i wielkiego znaczenia polityczną przeciwwagą wobec poczynań części katolików zachodnio-niemieckich otumanionych mirażami rozsnuwanymi przez imperializm amerykański.

Ze swej strony pragniemy na ręce Pana przekazać przekonanie katolików polskich, że naród niemiecki winien po siedmiu latach od zakończenia drugiej wojny światowej osiągnąć wreszcie sprawiedliwy

traktat pokojowy. Zjednoczenie całych Niemiec na bazie prawdziwie pokojowej jest w rozumieniu katolików polskich sprawą żywo obchodzącą nie tylko sam naród niemiecki, ale cały świat. Dlatego w pełni przyłączamy się do poparcia, które Pan zadeklarował imieniem Unii Chrześcijańsko - Demokratycznej dla punktów radzieckiego projektu traktatu pokojowego z Niemcami.

Katolicy polscy z najwyższym zainteresowaniem, poparciem i przyjaźnią obserwują proces wielkiej przemiany narodu niemieckiego, który dokonywane jest w NRD, a mimo wielkich trudności potrafi znaleźć swój wyraz także w Niemczech zachodnich. Decyzje i konsekwencja Stronnictwa, któremu Pan przewodniczy, sprawiła i sprawia, że chrześcijanie współuczestniczą w tworzeniu nowej prawdziwie wielkiej przyszłości dla narodu niemieckiego. Fakt ten tworzy podstawę braterskich stosunków między wszystkimi miłującymi pokój i postępowymi katolikami polskimi, a Pańskim Stronnictwem. Niewątpliwym ułatwieniem dla prac Unii Chrześcijańsko - Demokratycznej jest świadomość, że cały naród polski bez różnicy światopoglądów w pełnej jedności ze swym Rządem Ludowym występuje przeciwko akcjom rewizjonizmu zachodnio-niemieckiego. Odbyla w grudniu ub. r. we Wrocławiu ogólnopolska manifestacja 1.600 księży i czołowych działaczy katolickich dała tej sprawie dobitny wyraz. Obecność na tej manifestacji Delegacji Waszej Partii z sekretarzem generalnym p. Geraldem Göttingiem

posiadała doniosłe znaczenie. Stanowiła ona twórczy symbol współdziałania chrześcijan niemieckich i polskich w służbie celom pokojowym.

Wymiana doświadczeń i sformułowań ideologicznych, o której Pan pisze, posiada zasadnicze znaczenie. Zarówno Wy, jak i my, musimy przewyższać nie tylko praktycznie, ale i teoretycznie, historycznie przypadkowe powiązania transcendentnego chrześcijaństwa z przemijającym okresem ginącej epoki. Dlatego przeciwstawiamy się wspólnie, gdy imperializm polityków amerykańskich świętokradczo wykorzystuje transcendentny charakter religii dla wywołania nowej wojny, która rzekomo ma ocalić niesprawiedliwy i szarpany wewnętrzny sprzeczności systemu kapitalistyczny.

Zadaniem naszym jest jak największa aktywność w układaniu zgodnego z wolnością sumienia współżycia różnych światopoglądów w warunkach nowego socjalistycznego ustroju społeczno-gospodarczego. W Polsce dokonano niezwykle ważnego precedensu na tej drodze, który stanowi zawarte w dniu 14 kwietnia 1950 roku Porozumienie między Episkopatem i Rządem Polskiej Ludowej. Naród Polski, niezależnie od różnic światopoglądowych, jest zjednoczony w Narodowym Frontie Walki o Pokój i Plan 6-letni i buduje dziś swą prawdziwie wielką przyszłość.

Niedawno obchodziliśmy uroczystość Świąt Wielkanocnych. Świąta te są dla chrześcijanina wielkim przypomnieniem znaczenia Ofiary Chrystusa dla odkupienia świata. Myślimy w takim okresie o chrześcijaństwie, tkwiącym według naszych poglądów zawsze w historii, ale nigdy nie utożsamiającym się z mijającą epoką.

W tym nastawieniu pozwalam sobie przekazać Panu osobiście i Pańskiej Partii, wszystkim miłującym pokój chrześcijanom NRD i Niemiec zachodnich serdeczne życzenia od katolików polskich, życzenia dalszej walki owocnej dla pokoju, postępu oraz perspektyw chrześcijaństwa w nowym świecie.

Z wyrazami najgłębszego szacunku
BOLESŁAW PIASECKI

BOLESŁAW PIASECKI

NOTATNIK POLITYCZNY

Po nocy radzieckiej

Bardzo silne wrażenie, jakie wywarła ostatnia nota radziecka w społeczeństwie niemieckim, nie pozwala prasie zachodniej zbyć ją zdawkowymi frazesami. Oczywiście, nie należy się ludzi, że pilna uwaga, która wyciera z komentarzy tej pracy oznacza przychylnie przyjęcie postulatów ZSRR. Zmiana charakteru wypowiedzi wszystkich tub propagandy amerykańskiej polega raczej na załamaniu się dotychczasowej zbieżności w ocenie najważniejszych metod, które należy stosować w układaniu stosunków politycznych ze Związkiem Radzieckim. Obecnie jedynie część oficjalnych komentatorów stara się galwanizować trumanowską tezę o skuteczności polityki siły. Coraz liczniejsze głosy wysuwają inną tezę, która najtrafniejsze odbicie znalazła w następującym komentarzu waszyngtońskiego korespondenta paryskiego dziennika „Figaro“, który wskazuje na absurdalność amerykańskiej polityki: „ZSRR wysuwa oferty, które dokładnie odpowiadają oficjalnym (podkreślenie nasze) tezom polityki amerykańskiej, takim jak zjednoczenie Niemiec, liberalizacja wymiany towarowej i wznowienie handlu Wschód-Zachód, likwidacja zimnej wojny poprzez rokowania, a nawet zdaje się rozejm w Korei. Wszystko

to wymagałoby ze strony USA oficjalnej wypowiedzi. Tymczasem Amerykanie chowają głowę w piasek i obwarowują się w swych fortyfikacjach. Czy nie grozi wobec tego to, że amerykańska polityka zagraniczna stanie się rychło b. anemiczna i co więcej śmieszna?”

Cytowana autodemaskatorska wypowiedź mieszczańskiego dziennikarza w żadnym wypadku nie pokrywa się z linią polityki w stosunku do ZSRR w sprawie niemieckiej forsowanej nadal przez Waszyngton. Wprawdzie dopiero w tym tygodniu spodziewać się należy wypowiedzi trzech mocarstw zachodnich na nocną radziecką — już teraz jednak w oficjalnych kołach Waszyngtonu, Paryża i Londynu daje się niedwuznacznie do zrozumienia, że propozycje radzieckie zostaną odczuwane. Tak np. agencja Reutersa przewiduje, że trzy mocarstwa „odrzuca twierdzenie radzieckie o ostateczności linii granicznej na Odrze i Nysie, potwierdzą swój sprzeciw wobec propozycji utworzenia narodowej armii niemieckiej i prawdopodobnie odrzuca radziecki projekt zbadania warunków wyborczych w Niemczech przez komisję czterostonną“. Zachód nie chcąc rezygnować z dotychczasowej linii politycznej wobec problemu niemieckiego liczy się je-

dnak z ewentualnością dojścia do skutku konferencji czterech pod naciskiem opinii publicznej. Wobec tego inspiratorzy agresji wysuwają sugestie o potrzebie maksymalnego przyspieszenia realizacji układów z Niemcami Zachodnimi, aby taka konferencja była postawiona wobec faktów dokonanych w stosunkach Zachodu z Bonn.

Pierwszym sensacyjnym przykładem owego zabezpieczania tyłów jest decyzja rządu brytyjskiego o udzieleniu gwarancji wojskowych dla członków armii europejskiej. Niechęć Brytyjczyków do nawiązania ściślejszych stosunków z tzw. „armią europejską“ najdobitniej zaznaczyła się w okresie poprzedzającym Konferencję Lizbońską.

Skoro się weźmie pod uwagę, że w tamtym, tak gorącym momencie, Brytyjczycy nie zdecydowali się na udzielenie gwarancji, a obecnie to uczynili — zdaje się nie ulegać wątpliwości, że aktualny krok rządu W. Brytanii jest bezpośrednio spowodowany notą radziecką.

Przez udzielenie gwarancji dla członków „armii europejskiej“ W. Brytanii po raz pierwszy od czasów wojen napoleońskich znajduje się w wojskowym aliansie z Niemcami. Charakterystyczne, że rząd Chur-

chilla obwieścił tę decyzję bez uprzedniego zwrócenia się o opinię do parlamentu brytyjskiego.

Ostatnia deklaracja rządu NRD ogłoszona wkrótce po opublikowaniu noty radzieckiej następująco apeluje do społeczeństwa Niemiec zachodnich: „przeżywamy obecnie nadzwyczaj poważną chwilę i czas nagli.

Za kilka tygodni może się okazać, że za późno już na przeprowadzenie ogólnoniemieckich wyborów, ponieważ Adenauer i amerykańscy podżegacze wojenni działają, podczas gdy liczni posłowie do Bundestagu bońskiego, wypowiadający się za jednością i porozumieniem, jedynie mówią. Nadeszła chwila czynu dla doprowadzenia do jedności Niemiec w warunkach pokoju i wolności. Patriotyczny ruch oporu w Niemczech Zachodnich i demokratyczny ustrój państwowy w NRD muszą być silne i potężne, aby w pełnym uzbrojeniu przeciwstawić się podstępny planom wrogów Niemiec i udaremnić je“. Słowa te są nie tylko wezwaniem do zwiększenia czujności i aktywności zachodnio-niemieckich obrońców pokoju. Najistotniejsze ich znaczenie tkwi w tym, że bez obłonek charakteryzują one całą złożoność i powagę aktualnej sytuacji międzynarodowej.

DEWOCJONALIA

SPRZĘT KOŚCIELNY

K S I A Ż K I

NOWOŚCI WYDAWNICTWA „PAX“

poleca „VERITAS“

Warszawa, Widok 5
Białystok, Dąbrowskiego 1
Siedlce, Gen. Świerczewskiego 20
Tarnów, Krakowska 33
Nowy Sącz, św. Ducha 3
Sopot, Prez. Bieruta 1
Bydgoszcz, 1 Maja 54
Toruń, Rynek Staromiejski 11
Poznań, Kantaka 10
Łódź, Piotrkowska 28
Wrocław, Katedralna 6

Centrala, W-wa Mokotowska 43

Skupujemy odpadki świąt

naprawa — odnawianie
SPRZĘTU KOŚCIELNEGO

Warszawa, ul. Solec 87

Aleksander ROGALSKI

APOLOGECI NIEMIECKIEGO IMPERIALIZMU

JEDNĄ z najbardziej niebezpiecznych form rewizjonizmu niemieckiego, wymierzonego przeciwko naszym granicom zachodnim, dostrzec można w tych kołach konserwatywnych i prawicowych, które rozciągają dokoła siebie glorię opozycji wobec hitleryzmu, opozycji czasami faktycznej, czasami dość problematycznej. Wiadomo powszechnie, że arystokracja niemiecka, która przygotowała spis „20 lipca” do głównych tez swego programu politycznego włączyła postulat osiągnięcia granicy niemiecko-polskiej, identycznej z granicą Rzeszy z ... r 1914!

Kilka lat temu ukazała się w Szwajcarii książka Carla Hermanna Muellera (pod pseudonimem Constantina Silensa) p.t. „Irrweg und Umkehr” (Bezdroża i nawrócenie, Bazyleja 1946). Autor, konserwatywny i zwolennik polityki dawnego Centrum, a więc zasad chrześcijańskich w życiu publicznym, uznał swoją książkę za „dobry przyczynek do dzieła pokoju” i dlatego zwracał się do wszystkich, od których zawisł dzisiaj los świata.

Jak się przedstawia ten „drobny przyczynek do dzieła pokoju”?

Książka Muellera daje swoistą interpretację drogi, które przywiody Niemcy do katastrofy. Jego zdaniem nie przyczyniły się do niej absolutnie tradycje pruskie ciężące nad polityką niemiecką. Ujemną ocenę prusactwa, awersję do Prus, autor uważa za przesadę, który z dużym nakładem sił i wewnętrznych przekonań stara się obalić. Powiada, że nie chodzi o prawdę historyczną imputowaną twórcy Prus, Fryderykowi Wielkiemu, cech tak typowo pruskich, jak duch gwałtu, łupieżstwa, ucisku, bezprawia i machiawelizm. Nieszczęście dla Niemiec i dla świata zaczęło się dopiero z chwilą, gdy do władzy doszedł Bismarck, ale i tu ostrzega autor przed zbyt ryczałtowym osądem, bo bądź co bądź Bismarck zawarł po wojnach roku 1866 i 1870 — 1 „dwa najrozsądniejsze traktaty pokojowe z wszystkich, jakie kiedykolwiek po pokoju wiedeńskim w roku 1815 doszły w Europie do skutku” a cała polityka zagraniczna „żelaznego kancleża” brła „arcydziełem sztuki dyplomatycznej”.

Winę za wybuch pierwszej wojny ponosi nie polityka Wilhelma II, lecz... panslawizm i Rosja. Winę zaś za drugą wojnę światową, zdaniem Silensa vel Muellera, przypisać należy przede wszystkim, tak jak to, głosił i Hitler, traktatowi wersalskiemu. Niemala część tej winy spoczywa na barkach Polaków, którym autor przyznaje pewne przynioty („rodne podziwu silne uczucie narodowe”) po to, by wzięwszy za punkt wyjścia rzekome zdanie Ewy Curie, że skutkiem długiej niewoli Polacy uważają nienawiść za cnotę, a posłuszeństwo za tchórzostwo — tym silniej ich oskarżać. Tak więc stosunki niemiecko-polskie w ciągu dwudziestu lat zatrute zostały trzema powstaniami górnośląskimi, które „ostawiły w całym narodzie niemieckim polską brutalność”. Polakom przyznano granice, które stanowiły niezapiekłą ranę w ciele niemieckim. „Krwawa niedziela hydgoska” to wcale nie wymysł propagandy Goebelsa, choć podawane przezeń cyfry mogą budzić wątpliwość pod względem ścisłości. To jedno z ogniw długiego łańcucha prześladowań mniejszości niemieckiej w Polsce — twierdzi apodyktycznie pan Carl Hermann Mueller.

Los, jaki stał się udziałem Niemiec po klęsce Trzeciej Rzeszy, uważa on za „największą zdradę sprawiedliwości i idei lepszego świata”, przy czym szeroko omawia utratę wschodnich terenów Rzeszy. Miał odwagę napisać, co świadczyło, że nie cofał się przed żadnym chwytym, iż sami Polacy uważają te „bezprawne zdobycze” za „swe narodowe nieszczęście”!..

RÓWNIEŻ ze słynnej książki byłego niemieckiego ambasadora przy Kwirynale, Ulricha von Hassela p.t. „Vom andern Deutschland” (Zürich 1946) wynikało, iż program polityczny opozycji, rekrutującej się z liberalnie i chrześcijańsko usposobionych kół generalnej i arystokracji, nie był w istocie czymś odmiennym od dążeń hitleryzmu. Czym się oni różnili od polityków Trzeciej Rzeszy — to taktyka, to metody działania politycznego. Oburzał ich dyletantyzm, partactwo roboty politycznej nacjonalistycznych socjalistów. Oceniając postępowanie hitlerowców w krajach bałtyckich, w Finlandii i w Polsce, które to kraje, zdaniem von Hassela, „można było pozyskać” dzięki roztropniejszej taktyce, stwierdza on w grudniu 1943 roku: „Nasza polityka dostarczyła właśnie tutaj majstersztyków chybionej metody”.

Cele i dążenia polityczne spiskowców z grupy „20 lipca” charakteryzują najlepiej ich własne deklaracje. W październiku 1939 szkicuje von Hassel następujący zarys politycznego programu opozycji, zrobony przez Goerdelera, który jak wiadomo, przewidziany był na premiera nowego rządu: „niemieckie części Polski do nas, niezależne państwo z reszty (Reststaat), reorganizacja Czech, rekonstytucja państwa legalnego (Rechtsstaats) w Niemczech, dalej powszechne rozbrojenie z gwarancjami dla jego przeprowadzenia w Niemczech, odbudowa gospodarki”. W lutym 1940 r. wręcza von Hassel we Włoszech, wysłannikowi lorda Halifaxa, pismo od opozycji niemieckiej, dotyczącej jej poglądów na warunki zawarcia pokoju, w którym zastrzeżony został m.in. następujący warunek: „Nie będzie brana... pod uwagę kwestia granic na zachodzie Niemiec a niemiecko-polska granica musi się zasadniczo pokrywać z niemiecką granicą Rzeszy z r. 1914”.

Jeśli dążeniem do rewindykacji terytorialnych, zwłaszcza w stosunku do Polski, nadaje wagę fakt oporu przeciwko reżimowi hitlerowskiemu, to tym samym nadaje w swej pokazanej książce pieczęć ponadpartyjnej obiektywności i fachowości dr Otto Meissner, **) podsekretarz stanu w trzech kółkach (pozornie) różnych rządach: w rządzie Eberta, w rządzie Hindenburga i w rządzie Hitlera. Po 25 latach nieprzerwanej pracy na tym ważnym stanowisku, internowany w maju 1945 w ramach „automatycznego aresztu”, w listopadzie 1947 r. współoskarżony w Norymberdze w procesie hitlerowskiego MSZ, lecz w kwietniu 1949 r. zwolniony przez władze anglo-amerykańskie, przebywając odtąd na emeryturze w Bawarii dr Otto Meissner po pewnych wątpliwościach doszedł do wniosku, jak sam się z tego zwierza, że służyć będzie interesom niemieckim, gdy w formie

** Był ambasadorem francuskim w Berlinie, Andre Francois-Poncet charakteryzuje go w następujących słowach: „Meissner, sekretarz marszałka Hindenburga czerwony jak burak, kablakowaty i otyły, noszący zawsze za ciasne ubrania, ukrywający swój wzrok za szklami, osobistość dziwaczna, syn urzędnika pocztowego, emigranta z Alzacji, czujący się dobrze we wszystkich reżimach, znający dokładnie wszystkie ich tajniki, współpracownik socjaldemokraty Eberta, zanim stał się współpracownikiem Hindenburga, a później Hitlera...” (Souvenirs d'une ambassade a Berlin, 1946, s. 43-44).

książkowej przedstawi swoje przeżycia, doświadczenia i obserwacje. W tak długich i tak brzemiennych w wypadki historyczne latach zajmował on bowiem „jedno z najbardziej centralnych stanowisk Rzeszy nie będąc związany z żadną partią”. Tak powstała jego książka: „Staatssekretär unter Ebert-Hindenburg-Hitler. Der Schicksalweg des deutschen Volkes von 1918 — 1945, wie ich ihn erlebte” (Hamburg, 1-wydanie 1950, 3 — 1951).

Nie jest moim zamiarem merytoryczna ocena książki Meissnera, dokonać by jej mógł historyk epoki imperializmu, lecz przedstawienie tych tez zawartych w jego książce, które wiążą się z problemami poruszonymi przeze mnie powyżej.

I tak w rozdziale pierwszym, opisyującym upadek cesarstwa niemieckiego, uwagę naszą budzi fragment, którego tytuł stanowi jeden z najbardziej uniwiersalowanych sloganów propagandy hitlerowskiej: „Brennende Grenzen im Osten” (płonące granice na wschodzie). Mowa oczywiście o naszej granicy zachodniej. Herr Meissner pisze, że rozkład dawnej armii niemieckiej — wojna domowa w Berlinie „uczyniły bezbronnymi granice niemieckie na wschodzie i dały Polakom okazję do opanowania kraju niemieckiego bez liczenia się z zawieszeniem broni”. W pozabawionej wojsk prowincji poznańskiej do władzy doszli polscy powstańcy zagrożając ponad to pozostałym niemieckim obszarom wschodnim. Daremne były wysiłki i przygotowania sztabu oraz rządu Rzeszy do zbrojnego odebrania Polakom zajętego kraju. Daremnie feldmarszałek Hindenburg wzywał młodzież niemiecką, by wstępowała w szeregi i broniła niemieckiego wschodu. Przechylił dla Polaków marszałek Foch sprzeciwił się wszelkim ofensywnym poczynaniom przeciwko powstańcom polskim i zakazał rządowym oddziałom niemieckim przekraczania wyznaczonej przez niego linii demarkacyjnej: „Prowincja poznańska została w ten sposób oderwana od Rzeszy jeszcze przed układami pokojowymi”.

W PODOBNY sposób wyraża się Herr Meissner o powstaniach śląskich pomstując na krzywdzającą Niemcy decyzję Ligi Narodów, na mocy której duża część Górnego Śląska przypadła Polsce. O zrytowaniu autora świadczyć może użyte przez niego określenie powstańców śląskich: „polskie bandy”.

Rozdziały opisujące wypadki, które poprzedziły wybuch drugiej wojny światowej, rzucają niedwuznacznie sugestię, że duża część winy za jej wywołanie... spada na Polskę. Są tam więc umiejętnie wplecione w tok poważnych wywodów takie zdania, jak to, że „szowinistyczne głosy z Polski i zagrożenie mniejszości niemieckiej zaniepokoiły opinię niemiecką”. Meissner nie ma dobrego mniemania o Ribbentropie. Gdy jednak przedstawia jego działalność polityczną w odniesieniu do sprawy polskiej, tak rozkłada akcenty, że budzi u czytelnika niemieckiego niechęć nie do Ribbentropa lecz do jego kontrpartnów polskich.

Na dalszych stronicach znowu jest mowa o wrogich wypowiedziach prasy polskiej i pojawiają się usmażone w kuchni goebelsowskiej opowieści o „hecy przeciwko mniejszości niemieckiej, która doprowadziła do aktów brutalnej przemocy”, i o postępowaniu władz polskich w Gdańsku, które spowodowało „niebezpieczne zaostrzenie sytuacji politycznej”.

Przedstawivszy zabiegi na parkiecie dyplomatycznym, mające na celu uratowanie pokoju jeszcze w ostatniej chwili, zgadza się wprawdzie autor z orzeczeniem Międzynarodowego Trybunału Wojskowego w Norymberdze, iż rozpoczęta w dniu 1.

września wojna przeciwko Polsce była „wyraźnie wojną napastniczą, która musiała się w konsekwencji zamienić na wojnę, ogarniającą cały świat”, lecz nie bez perfidii wyraża zastrzeżenie, iż „rząd polski, zachęcony udzielonymi mu przez Londyn i Paryż pełnomocnictwami in blanco, swym uporzędkowanym odrzucaniem wszelkich układów przyczynił się do nieszczęsnego rozwoju wypadków”.

Nie interesuje nas tutaj sposób, w jaki autor oświetla późniejszy przebieg wypadków politycznych i militarnych aż do pogromu Trzeciej Rzeszy. Uwagę naszą natomiast budzi jedna z ostatnich stron jego książki, na której poddaje on swemu osądowi Układ Poczdamski. Nie może nas dziwić, że Układ Poczdamski bardzo się nie podobają panu Meissnerowi. Oczywiście znajdziemy u niego najbogatszy zbiór wszelkich argumentów i insynuacji atakujących prawa Polski do Ziemi Zachodnich. Lecz podsekretarz stanu, Otto Meissner nie podaje, ilu milionom ludzi przyniosła zagładę armia hitlerowska i hitlerowska machina eksterminacyjna. Nie wspomina o terrorystycznych rządach niemieckich w Polsce, w Rosji, na Bałkanach, i w innych krajach, nie wiele się z jego książki dowiemy o miejscach masowych zniszczeń. Poświęca wprawdzie nieco uwagi eksterminacji Żydów, wymienia nawet liczbę 3 milionów zamordowanych w Oświęcimiu i Treblince Żydów i nazywa tę zbrodnię „w jej haniebnej potworności bez przykładną w dziejach narodów cywilizowanych”. Zarazem jednak dodaje, że popełniła ją, lub była w nią wtajemniczona (tylko mała garstka fanatycznych nacjonalistów z

otoczenia Hitlera, Himmlera i Heydricha, najwyżej 100 osób”. Wszyscy inni, również wysocy urzędnicy rządowi i przywódcy wojskowi a nawet czołowi funkcjonariusze partii i dowódcy SS dowiedzieli się o tej zbrodni dopiero po wojnie”(!)

Jest to jedno z tych miejsc książki Otto Meissnera, które dowodzi, że publikując ją istotnie przysłużył się „interesom niemieckim”, jak to zamierzał uczynić. Ale musimy tu sprecyzować, o jakich Niemcach może być tylko mowa. Jest oczywiste, że o Niemcach kapitalistycznych, nacjonalistycznych, imperialistycznych. Herr doktor Otto Meissner, który swoją ponadpartyjną fachowością służył wiernie po kolei i socjaldemokracji Ebertowi i junkrowi pruskiemu, feldmarszałkowi Hindenburgowi i wreszcie twórcy „Tysiącletniej Rzeszy”, Adolfowi Hitlerowi, teraz, kiedy jest na emeryturze przysłużył się obecnemu kontynuatorowi tradycyjnej pruskiej linii politycznej, premierowi Adenauerowi.

Ale, jak lektura książek w rodzaju tych, o których wspomnieliśmy w niniejszym artykule, unaocznia nam całą wyrazistą w swej logice ideologiczną postawę i całe historyczne zaplecze dzisiejszego rewizjonizmu niemieckiego, tak jednocześnie można z niej wynieść pokrzepiającą refleksję, że znajdujemy się obecnie na tym etapie rozwojowym, gdzie niebezpieczeństwo zagraża ze strony starych, wstecznych, rozpadających się Niemiec, podczas gdy powstające Niemcy młode, nowe, odradzające się, postępujące, są razem z nami w jednym potężnym obozie pokoju.

Aleksander Rogalski

o sztuce wiersz problemowy

...Kiedys był rzeźbiarz samouk nie szukający pochwał.
Blachę cynową zmuszał by palcom była postuszną,
Cichą sztukę zaklinał w zasmuconych ikonach
— w malowanych kogutkach.

...Potem przyszli mistrzowie wskrzeszający proroków
Na złotych polichromiach zatrzymywali gest świętych
I byli jak uczeni szukający wśród mroków
— kształtów ludzką ręką nie tkniętych.

...Byli brudni, obdarci pielgrzymi sztuki ziemskiej,
budujący świątynie bogom przez się stworzonym.
Przez wszystkich potępieni gwałciciele prawd wiecznych
— których na stosie palono.

...Byli spokojni mędrcy ważący ton i kolor,
których sztuka z wszechświata brata wielkość wymiaru
takich szarlatanami każdy wolał obwołać
— Takim historia nie szczęśliwa laurów.

...A pieśniarze anielscy z zasmuconym obliczem,
których pieśni żaden nie spisywał kronikarz.
Z których drwiły dziewczęta, piła plotka uliczna
— i przedcześnie spalała gruzlica.

...A śpicwacy nadworni godni progów zamkowych;
kochankowie księżniczek, przyjaciele monarchów,
którzy wielbili władzę — barwę, dźwiękiem i słowem
nie szukając klucza do prawdy

Krążąc po labiryncie prądów, kierunków, metod
chciałbym bardzo ostrożnie obliczyć bilans wieków.
— I nie określając żadnych „izmów” „stylów”,
odnaleźć taką sztukę, która zmysłom miła.

Poszukać rzeczy pięknych nie jako esteta,
lecz jako realista, który ceni wysiłek
i przedmiot określony, i prawdziwą bryłę,
i ton naprawdę pełny i słowo — co żyje...

Andrzej Łepkowski

Józef RADZIEJEWSKI

Z DYKUSJI NAD RODZINĄ

Zagadnienie doboru małżeńskiego w świetle psychologii

ARTYKUŁ niniejszy nie ma charakteru naukowego i nie zmierza do ustalenia jakichś praw. Nie jest także zbiorem przepisów, którymi należy kierować się, aby nie omylić się w wyborze współmałżonka. Chodzi tu o poruszenie zagadnienia niezmiernie żywego i ważnego, w celu pobudzenia czytelników do zastanowienia się i samodzielnego szukania rozwiązań. Poza tym ogromna złożoność i subtelność omawianych tutaj spraw domagają się jakiejś próby usystematyzowania i przeanalizowania zjawisk i związków, ażeby ułatwić zainteresowanym maksymalnie rozważną ocenę swoich możliwości i możliwości partnera.

Sprawa doboru małżeńskiego powinna być rozpatrywana z punktu widzenia społecznego, jeśli chodzi o zdrowie i spójność wewnętrzną rodzin — żywych komórek społeczeństwa.

Lekarz może bardzo wiele powiedzieć o zdrowiu fizycznym obojga narzeczonych, o ich zdolności do wyćwiczenia na świat dzieci, o zgodności ich grup krwi.

Antropolog rozpoznaje u nich pewne cechy rasowe i na tej podstawie ogólnie ich scharakteryzuje.

Ale najwięcej do powiedzenia w tej sprawie wydaje się mieć psycholog, gdyż zarówno w procesie poznawania się, jak i we współżyciu małżeńskim, niemal dominującą rolę odgrywają czynniki psychiczne.

Psychologowie są dziś jednomyślni co do zależności rozwoju osobowości człowieka od przebiegu kształtowania się jej w ciągu pierwszych lat życia. Środowisko ma wielki wpływ na tworzenie się świadomości. Temperament, ujęty w karby przez wysiłki woli, wzmacnia pozytywne dążenia jednostki, nieujarzmiony — opanowuje osobowość i ponosi człowieka na „fali ślepych popędów”. Charakter człowieka kształtuje się właśnie w walce z trudnościami wewnętrznymi i zewnętrznymi.

Przez pierwszych kilkanaście lat osobowość ulega wpływom wychowawczym, które formują ją w domu rodzinnym, w szkole, i w kontakcie ze środowiskiem społecznym. Przejścia religijne dzieciństwa pozostawiają w osobowości głęboki ślad, który stanowi często źródło siły życiowej człowieka w wieku dojrzałym. Po usamodzielnieniu się jednostki kontakt ze środowiskiem przybiera formy coraz bardziej różnorodne, a na pierwszy plan wysuwa się praca zawodowa i stosunek do niej. Samowychowanie dokonuje się pod wpływem krytycznej oceny własnego postępowania z punktu widzenia jakiegoś wzoru i w dążeniu do jakiegoś celu. Zarówno wzór jak i cel bywają często nieświadomie zaczerpnięte z młodzieńczych marzeń. W okresie szkolnym zdarzają się pierwsze przeżycia miłosne. Są to jakby próby przykładać przedmiot marzeń do konkretnej osoby, nieraz pierwsze konieczne rozczarowania, które powinny pobudzić do myślenia i do

coraz trafniejszej oceny osób pici drugiej.

WŁAŚCIWY okres doboru towarzysza życia przypada u kobiet przeciętnie na 20 do 25 roku życia, a u mężczyzn — 25 do 30 roku i przesuwają się powoli ku latom dojrzałym.

Każdy przedmiot zainteresowania ujmowany bywa niejako z dwóch stron: świadomie usiłujemy rozpoznać jego dodatnie i ujemne właściwości, a nieświadomie przykładamy doń miarę ideałów tkwiących głęboko w przeszłości: poszukiwanie przedmiotu młodzieńczych marzeń, doboru współmałżonka według życzeń rodziców, wsączanych przez lata w świadomość dzieci, upatrywanie żony podobnej do matki, instynktowne poszukiwanie partnera o uosobieniu kontrastującym z własnym, strojenie go w „tęczowe, złudne szaty” przedmiotu pożądanego fizycznego, przypisywanie mu licznych zalet tylko z tytułu jego przynależności do pici drugiej...

Istnieje niezliczona ilość okoliczności poznawania się dwojga ludzi. Wśród nich można by przeprowadzić pewne linie podziałów. W niektórych wypadkach od pierwszej chwili powstaje „prąd” sympatii, wzajemne upodobanie, które wywołuje mniej lub więcej świadome wysiłki zmierzające do przebywania razem. W bardzo licznych wypadkach dopiero długotrwała znajomość z drugą osobą otwiera zasoby wartości, które uczymy się cenić, i które nas podbijają powoli, ale gruntownie. Ponadto trudno by zliczyć spotkania, które pozostawiły nas obojętnymi. Można zaryzykować twierdzenie, że w młodym wieku częstsze bywa nawiązywanie kontaktu pierwszego typu, jak również bardzo często obojętne traktowanie ludzi, którzy nie obudzili sympatii od pierwszego wejrzenia, pomimo że niekiedy, żywią oni dla nas głębokie, ale ukrywane uczucia i są ludźmi istotnie wartościowymi. W wieku dojrzałym, zdaje się, przeważa w nawiązywaniu stosunków typ drugi, a zmniejsza się wydatnie ilość spotkań, pozostawiających nas zupełnie obojętnymi uczuciowo lub intelektualnie.

Im jesteśmy młodszy, tym skromniejszy mamy zasób doświadczeń, tym mniej posługujemy się świadomą oceną osób i ich postępowania, tym większą rolę w osądzeniu drugich odgrywa pierwiastek uczuciowy. Idealizacja ludzi i życia, znajdująca wyraz w młodzieńczych marzeniach, w połączeniu z siłami popędów, ozdabia przedmiot miłości lub przyjaźni, szeregiem zalet obiektywnie nieistniejących. W rezultacie, po krótszym lub dłuższym czasie, tęczę łuski spadają z oczu, pod wpływem jakiegoś na pozór mało znaczącego faktu, pozostającego jednak w rażącej sprzeczności z idealnym wyobrażeniem danej osoby. Jeżeli „odczarowanie” zdarzy się przed ślubem, to przeżycie staje się doświadczeniem o pozytywnym, bo pouczającym, znaczeniu. Jeżeli natomiast nastąpi ono po ślubie — staje się najczęściej poważną katastrofą indywidualną i społeczną.

Czynnik decydujący o trafności doboru małżeńskiego można by podzielić na: fizyczne, psychiczne i środowiskowe.

Doświadczenie i bezpośrednie wypowiedzi setek ludzi badanych drogą ankiet i wywiadów wykazują, że w wyborze towarzysza życia zagadnienie urody cielesnej znajduje się na jednym z dalszych miejsc. Natomiast na pierwsze miejsce wysuwane są czynniki charakteru, moralności, wspólnych zainteresowań, wykształcenia itd.

Spośród czynników psychicznych, które mają decydujący wpływ na pożycie małżonków, na pierwsze miejsce wysuwa się miłość. Nie znaczy to, że istnienie silnego uczucia zapewni przezycie wszelkich trudności życiowych, jak również przeszkód natury psychicznej, pojawiających się we współżyciu.

Jak rozpoznać prawdziwe uczucie? Spośród wielu innych cech na pierwsze miejsce należy chyba wysunąć gotowość do wyrzeczenia się swoich często egoistycznych pragnień dla wspólnego dobra, stawianie ukochanego człowieka ponad swoje zachcianki oraz przywiązywanie najwyższej ceny do jego zadowolenia, do jego życzeń, do jego upodobań. Jeżeli uczucia obu stron nacechowane są taką ofiarnością i bezinteresownością, to w połączeniu z innymi czynnikami, mogą zapewnić szczęście w małżeństwie.

Na drugim miejscu, zdaje się, trzeba omówić zagadnienie charakteru. Przede wszystkim należy podkreślić podatność na wpływy, zarówno dodatnie, jak i ujemne, tak zewnętrzne, jak psychiczne. Elastyczność tę zachowuje charakter do lat dojrzałych. Oceniając natomiast charakter drugiego człowieka wnioskujemy z jego postępowania, z reakcji w rozmaitych okolicznościach życia. Dodatni, dobry charakter przejawia się w czynach korzystnych dla społeczeństwa, dla towarzyszy pracy, dla rodziny. Ażeby poznać czyjś charakter w stopniu wystarczającym, należy przez dłuższy czas często z nim przebywać, i to w najrozmaitszych sytuacjach życiowych i bacznie obserwować, czy jego zasady, wyrażane w słowach, odpowiadają postępowaniu.

W pewnej zależności od charakteru pozostaje temperament czyli uosobienie człowieka. Jego podłożem fizjologicznym są swoiste właściwości systemu nerwowego. Według I. P. Pawłowa prastary podział temperamentów Hippokratesa na choleryków, sangwiników, melancholików i flegmatyków pozostaje w związku z różnicami co do typu systemu nerwowego. Skłonność do wybuchów gniewu, nagłych uniesień i zachwyłów albo rozpacz, niewspółmierne do bodźca, jest rezultatem nadmiernej pobudliwości systemu nerwowego. Opanowanie tej wrodzonej cechy wymaga długiej i wyężonej pracy nad sobą. Spotykamy również ludzi, którzy nie są zdolni do okazywania swych uczuć na zewnątrz i uważani są za oschłych, bez serca. Słabsza pobudliwość systemu nerwowego jest u nich zazwyczaj kompensowana przez głębię i trwałość uczuć.

CECZY charakter i temperamentu są niekiedy sprzymierzającami, a niekiedy przeszkadzają człowiekowi w dążeniu do osiągnięcia bliższych i dalszych celów w życiu. Wytęczenie sobie szeregu zadań, uporządkowanych pod względem ich życiowej doniosłości, jest warunkiem wszelkiej działalności. Ludzie o „szerokich horyzontach” wytyczają sobie dalekie cele działalności i wykonują najbliższe w danej chwili zadania, jako etapy konieczne do osiągnięcia celu ostatecznego. Takie „długofalowe” nastawienie daje człowiekowi chęć i siłę do walki.

Pogląd na świat powinien łączyć małżonków a nie rozdzielać. Tutaj należy jeszcze poruszyć sprawę poziomu wykształcenia obu stron i wspólnych zainteresowań. Mąż nie powinien stać niżej intelektualnie od żony, ale, z drugiej strony, jego wyższość intelektualna nie może być rażąca. Kobieta pragnie zazwyczaj znaleźć w mężczyźnie opiekuna i rozumnego doradcę, na którego zdaniu może polegać. Nawet równość intelektualna, niektórym kobietom nie wystarcza. Ten stan rzeczy może łatwo stać się przyczyną rozkładu pożycia małżeńskiego.

Związane z wykształceniem — zakres i kierunek zainteresowań — mają ogromne znaczenie dla harmonii pożycia małżeńskiego. Różne zainteresowania oddalają pod względem umysłowym i powstaje konieczność wzmożenia czynników łączących na innych odcinkach współżycia. Wielce znaczący i niepożądany jest brak zainteresowania u jednej ze stron — sprawami drugiego.

Bogactwo zainteresowań u obu stron urozmaica współżycie i wypęda zeń nudę, odwraca uwagę od siebie samych ku życiu zewnętrznemu.

WŻYCIU społecznym dokonują się obecnie przemiany, które nadają nowy kształt dążeniom poszczególnych jednostek i zmieniają ich wzajemne stosunki. W państwach socjalistycznych zagadnienie założenia rodziny przedstawia się odmiennie niż w ustroju kapitalistycznym. Rodzice dają dziecku życie i podwalny wychowania moralnego, dbają o jego zdrowie. Państwo zapewnia mu wykształcenie i daje pracę w zawodzie, do którego jest najczęściej uzdolnione. Zamiast posagu i wyprawy kobieta otrzymuje dziś przygotowanie fachowe, które ją uniezależnia od rodziców i od męża. Wypływają stąd daleko idące konsekwencje. Odpada obawa, że kandydat na męża zabiega o małżeństwo dla posagu. Rodzice mają coraz mniejszy wpływ na wybór dokonywany przez córkę. Zmniejsza się możliwość tarc między małżonkami na tle potrzeb materialnych. Wspólne dochody dzielone są zgodnie z wspólnymi potrzebami. W nowych warunkach inaczej kształtuje się życie rodziny, a to nie pozostaje bez wpływu na postawy psychiczne ludzi szukających towarzysza życia.

Wśród czynników środowiskowych oddziaływających na osobowość kandydata do stanu małżeńskiego na pierwsze miejsce wysuwa się wpływ jego rodziny. Zaznacza się on nie tylko w długoletnim kształtowaniu uczuć i pragnień, wyobrażeń i przekonań, przyzwyczajeniu i potrzebie. Obok tego wpływu, który może być nazwany pośrednim, istnieje również bezpośredni stosunek do kwestii małżeństwa, wyrażający się w formie

naocznych przykładów współżycia rodziców, rodzeństwa i krewnych, jak również ukryty pod podszeptką najrozmaitszych wypowiedzi związanych z tym tematem.

Prawdziwa przyjaźń jest niezwykle cenna w małżeństwie. Wszystkie jej cechy — wzajemność, pragnienie przebywania razem, wzajemna życzliwość, zaufanie i szczerłość, gotowość do udzielenia drugiemu rady i pomocy — powinny przejawiać się również w małżeństwie, w szczęśliwym połączeniu z trwałym podjęciem zmysłowym.

Zdolność do przyjaźni, posiadanie dobrych, wartościowych przyjaciół, zaprawiają do przyjaźni małżeńskiej, wytwarzają potrzebne nawyki i stanowią ważki argument przemawiający za trafnością wyboru. Natomiast przyjaciele partnera budzący obawę, niechęć lub wstręt — to groźne ostrzeżenie przed nieznanymi stronami jego osobowości, zbliżającymi go do osobników budzących antypatię.

Stosunek do pracy zawodowej sęga licznymi korzeniami w głąb osobowości i dlatego stanowi jeden z podstawowych sprawdzianów wartości człowieka. Między innymi odkrywamy tu nastawienie do pracy, przejęte z domu rodzicielskiego, istnienie lub brak pewnych przyzwyczajęń i umiejętności w wysokim stopniu ułatwiających prowadzenie własnego gospodarstwa, a wyrażających się w poczuciu obowiązku, w punktualności, w zamiłowaniu do porządku itp. Jeżeli praca cieszy, zapala, pochłania — staje się źródłem optymizmu i poczynają twórczych, które nie tylko dają „miarę” człowieka, ale stanowią wartości bezcenne w życiu praktycznym. Psychologia nie ogranicza się do obserwowania i rejestrowania faktów związanych z zagadnieniem doboru małżeńskiego, lecz usiłuje wziąć czynny udział i dopomóc w ocenie szans osób wstępujących w związek małżeński, przynajmniej przez ustalenie możliwości i trudności, z jakimi powinny liczyć się wzajemnie.

Psychologowie czynią w tym kierunku wyjątkowe wysiłki i zapewniają, że możliwe jest naukowe stwierdzenie „aktywów i pasywów” u obojga kandydatów i że stopień prawdopodobieństwa trafności orzeczeń jest wysoki i stale wzrasta. Intensywne badania są prowadzone. Oprócz zagadnienia doboru dotyczą one okresu narzeczeństwa, czynników harmonijnego pożycia w małżeństwie, poradnictwa w sprawach małżeńskich itp. W ZSRR zorganizowano na wielką skalę uświadamianie społeczeństwa o znaczeniu trwałych związków monogamicznych, zarówno dla tężyzny moralnej i fizycznej narodu, jak i dla szczęścia osobistego jednostek. Celem naukowego rozwiązania sprawy doboru małżeńskiego utworzono w Moskwie Instytut Eugeniczny, a w większych miastach Związku — szereg Instytutów Higieny Społecznej.

U nas zagadnienie doboru i harmonii w pożyciu małżeńskim leżą dotąd odległym. Naukowcy uważają je za nieuchwytną z powodu braku odpowiednich metod. Lekarze za mało zajmują się psychologią i nie doceniają znaczenia równoczesnego oddziaływania na psychikę i na ciało pacjentów. Opinia publiczna nie jest poinformowana o możliwościach poradnictwa przed- i małżeńskiego. Istniejące Wojewódzkie i Miejskie Poradnie Zdrowia Psychicznego zdają się być predystynowane do odegrania w tej dziedzinie dwójakiej roli: mogą udzielać porad i zbierać bezcenny materiał dla prac naukowych. Warto by o tym pomyśleć!

NOWOŚĆ**NOWOŚĆ**

Ks prof. Eugeniusz Dąbrowski

PROLEGOMENA

DO

NOWEGO TESTAMENTU

wydanie drugie poprawione i uzupełnione Cena Zł 20.—

Wysyła Biuro Sprzedaży Spółki Wydawniczej „PAX”, Warszawa Mokotowska 43, po wpłaceniu należności na konto PKO. Nr I-8515

Andrzej JOCHELSON

Biskup Nankier

— wzór godny naśladowania

DNIA 8 kwietnia przypada 611 rocznica śmierci biskupa wrocławskiego i krakowskiego, Nankiera, zmarłego w opinii świętości. Żywy kult jego postaci przetrwał do naszych czasów we Wrocławiu i jego okolicach.

Nankier herbu Oksza, szlachcic ziemi bytomskiej, z rodu Kołdów, syn Imbrama Brodacica, urodził

kietek mający duże wpływy u papieża Jana XXII uzyskał przeniesienie Nankiera na wakujące biskupstwo wrocławskie. Tu również na okres jego pontyfikatu przypada wykończenie budowy katedry prócz wież i kaplic. Jego zasługą jest zbudowanie zakrystii. Przez cały czas swych 15-letnich rządów walczył na terenie Śląska

królem i jego zwolennikami wśród kleru a królem i Niemcami z drugiej. W pierwszy dzień Wielkanocy 1341 roku umarł nagle biskup Nankier z oznakami otrucia. Dopiero w połowie XIX wieku uczone niemiecki Colnar Grünhagen zaprzeczył temu faktowi otrucia, uważając, że ponieważ biskup odbywał procesje w Wielkim Tygodniu boso obchodząc wszystkie kościoły w Nysie, przeto śmierć nastąpiła prawdopodobnie z przeziębnia, nie zaś z otrucia.

Pochowany został w lochach katedry wrocławskiej w lecie 1341 roku, zaś w 1719 roku szczątki umieszczono w ołtarzu w zakrystii kanonickiej.

COŻ ma wspólnego ten biskup, tak różny od wielu współczesnych mu władców na stolicach biskupich z naszymi czasami? Odpowiedź daje nam jego działalność.

Nankier był ascetą, człowiekiem wielkiej pobożności, budowniczym dwóch katedr, miłośnikiem ubogich, lekarzem cierpiących, pocieszycielem i doradcą pokutujących. To zyskało mu opinię świętości, to stanowiło niewątpliwie kamień węgielny jego kultu.

Ale nas, dziś w XX wieku, pociągają także i inne strony tego bogatego w wydarzenia żywota: walka z niesprawiedliwością społeczną i walka o prawo narodu polskiego do Śląska.

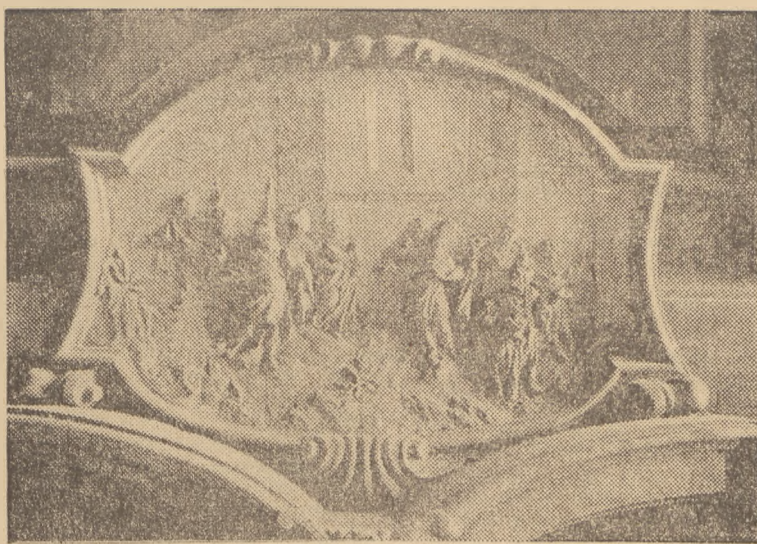
Bolała go mocno niesprawiedliwość społeczna, cechująca ustrój feudalny. Widział jego niesprawiedliwość i chciał — chociaż w nikłej mierze i naiwnym może sposobem — zaradzić przez progresję podatku kościelnego; piszę „naiwnym”, bo zapewne nie dostrzegł Nankier, że nawet, gdyby udało mu się wprowadzić w życie progresywny podatek kościelny, to warstwa wyzyskiwaczy przerzuci-

Nankiera na stolicy krakowskiej było zniesienie owego statutu.

Nankier nie mieścił się w ramach feudalnego ustroju. Dla tego ustroju charakterystycznym było, że jedynym podmiotem prawa publicznego był władca a nie naród. Różnic narodowościowych feudalizm nie znał. Francuz poddany króla niemieckiego walczył pod sztandarem tegoż króla i odwrotnie — Niemiec, poddany króla Francji, walczył pod znakiem Francji. Naród czy państwo nie były dla człowieka średnich wieków konkretem. Konkretem, o którym gotów był człowiek średniowiecza walczyć, był jego suweren.

G. B. Shaw twierdzi, że dopiero św. Joanna d'Arc pierwsza w średniowieczu dostrzegła istnienie narodu i pierwsza sformułowała zasadę, że naród francuski ma prawo do tego, żeby Francuz był jego królem. Jak wiadomo bowiem w 1420 roku w Troyes królowa Francji i prawowita jej władczyni przeniosła prawo do korony Francji na króla angielskiego Henryka V. Henryk V zatem był prawowitym władcą Francji, a jednak Dziewica Orleańska zakwestionowała układ w Troyes i doprowadziła do tego, że tron Francji przypadł Francuzowi, Karolowi VII. Analogia z działalnością Nankiera jest oczywista.

W r. 1335 w Trenczynie Kazimierz Wielki zrzeka się Śląska (procz księstwa świdnickiego i nyskiego księstwa biskupiego) na rzecz korony Czech, zaś 9 lutego 1339 r. umowę tę ratyfikuje. Z tą chwilą dla każdego człowieka, żyjącego w ramach feudalnego ustroju królem stawał się król czeski. Nankier jednak zdobywa się na protest — widzi on w tym krzywdę narodu polskiego. Odmawia więc uznania władzy króla Czech, tym bardziej, że jest to



Epitafium Biskupa Nankiera dłuta Jana Jerzego Urbańskiego. Plaskorzeźba przedstawiająca scenę ekskomunikowania króla Jana Luksemburskiego przez Biskupa Nankiera.

laby ciężar podatku na wyzyskiwanych. Do wyrównania — nawet w niewielkim stopniu — różnic społecznych tą drogą nie byłoby doszło. Ale Nankier chciał najlepiej i jak powiada cytowany poprzednio historyk, możnowładców i posiadaczy znacznych dóbr zabolało mocno ten statut podatkowy. Oni też zażądali od króla Łokietka, żeby spowodował odwołanie statutu.

Wszystko więc wykazuje, że Nankier sjanawszy w obronie statutu znieważony został przez króla i ustąpić musiał z zajmowanego biskupstwa krakowskiego.

To przypuszczenie potwierdza fakt, że jedną z pierwszych czynności Jana Grotowego, następcy

bezwzględny i okrutny germanizator ze słowianożerczej dynastii Luksemburgów. Król polski Kazimierz Wielki, rozpoczyna w tym czasie marsz na wschód. W 1340 r. wojska polskie zajmują Lwów. Tu na Śląsku jako jedyny obrońca praw narodu polskiego do Śląska pozostaje osamotniony i opuszczony przez króla polskiego starzec — nieugięty biskup Nankier.

Dla naszego pokolenia, które po 600 latach wróciło do starej koncepcji państwowej oparcia Polski o Bałtyk i Śląsk — postać wielkiego Biskupa Nankiera jest szczególnie bliska.

Andrzej Jochelson

KALI
SYLWETKI
Zdarzenia

Rabędz z nad Avonu

OPRO CZ kilku wiotkich papierzyków, metryk urodzeń i ślubów, jakoteż zapisków sądowych i aktów nabycia gruntu koło Stratfordu czy domu w Londynie, burdzo niewiele mamy realiów, by poznać bliżej życie Szekspira. Obracamy się tylko w krąg plotki lub mitu.

Co wiemy z plotki?

Ze Szekspir pochodził z gentry gminno-rzemieślniczo-kupieckiej nowej Anglii na równi z innymi dramaturgami, z krwistym Benem Jonsonem murarzem i synem murarza, z Krzysztofem Marlowe, synem szewca i z Filipem Massingerem, synem lamulusa. Gdy się na lapu-capu ożenił ze starszą odek o lat osiem Anką Hatheway, małżeństwo Szekspira zakwalifikowało na tym świecie o trzy miesiące za wcześnie. Gdy uciekał od zemsty sir Tomasza Lucy, którego skarykaturoje w postaci głupkowatego sędzięgo Płytki z „Henryka IV” i w „Wesołych kumoszkach”, a w którego lasach, podług wielebnego księdza Davies, uprawiał wszelkiego sposobu występne kłusownictwo wobec królików i danieli, oparł się na koniec aż u bramy londyńskiego teatru i zaczął swą bajeczną karierę od trzymania gościom koni. Często upadał z Londynu nad rodzinny Avon, do Stratfordu i, póki żył tata rękawicznik, stary Dion Szekspir alias Trzęsiedzi o różnanych policzkach i bielej od śniegu czuprynie, wzywali się wzajem do zapasów na kufle i dowcipy. Ku uciechu zaprzyjaźnionych tyków Will nieraz dostawał tego w skórę. W ogóle, lubił zawsze pobaraszkować w swojej kompanii i jednakowo chętnie pociągał i piwka i winka — Tom Fuller wspomina przecież Willowi tamto przepisywanie w karczmie „Pod nimfą”, ścinanie skłanianie i szydereze przygadywanie Benowi Jonson, ciężkiemu niży hiszpańska galera, kiedy on, Will, lekki był i obrotny, niży okręcił Jej Królewskiej Mosci. I dorzucimy jeszcze do kopcy anegdot szekspirowskich skądinąd nie anegdot, że leciały na niego kobiety i umiał robić interesy nie gorzej, niżeli nasz Słowacki grać na giełdzie.

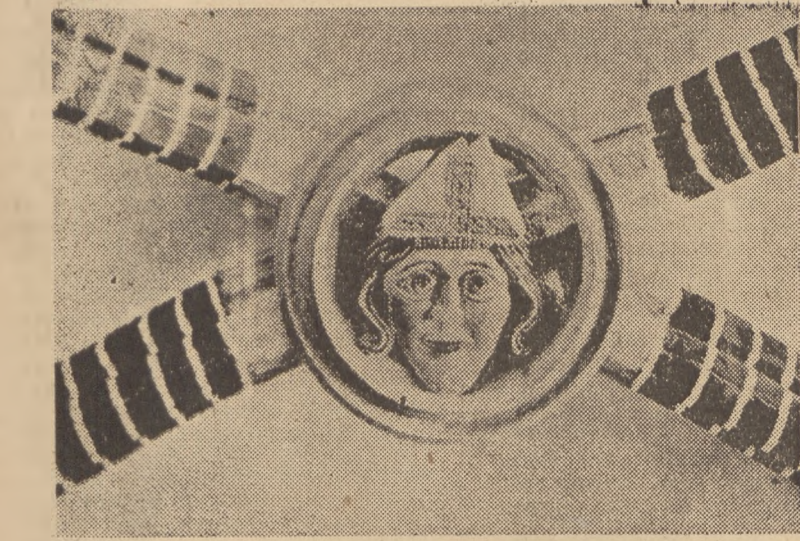
Z kolei, co wiemy z mitu?

Jeden mit podstępnie nam czarowane prawdopodobieństwo, że między koniami, trzymanymi przez młodego Szekspira u bramy teatru, znajdował się Pegaz. Drugi mit unieważniał literacko Szekspira i odstępował bezczelnie jego twórczość panu of Verulam. Poza tym, malując zwiariowaną Amerykankę, Delię Bakonównę (of Verulam), przydzielał twórczość syna rękawicznika lordom Rutland i Stanley i hrabiom Derby i Oxford.

Dobre sobie!

Ami bowiem szpargały, ani plotki, ani anegdoty nie posiadają żadnej wartości, skoro Szekspir jest niewątpliwym autorem Szekspira. Z konkretny konkret — trudno rozciągnąć osobowość i twórczość. Bez Szekspira nie istniałby wielki teatr nowoczesny, chyba i rozkosz świata, jak bez Pula nie istniałby nigdy „Sen nocny letniej”, jak „Burza” nie istniałaby bez Ariela, tragedia Brutusa bez widma Cezara i tragedia Hamleta bez Ducha, błakającego się o północy w cieniu baszt Elsynora. Czego dokonał?

Nikt nie wznosił sztuki dramatycznej wyżej od Szekspira, nie odsonił tak uruszając całego kłobowskiego ludzkiego namiętności i nie oddał tak olśniewająco pięknie niepokoju ziemi i spokoju nieba, wśród których człowiek dopełnia własnego losu.



Zwornik z podobizną Biskupa Nankiera z kościoła dominikańskiego św. Wojciecha we Wrocławiu, który Biskup Nankier konsekrował w 1330 roku.

się około 1270 roku w Kamieniu nad Brynicą. Poświęca się stanowi duchownemu i pełni służbę kapłańską w Krakowie i w Sandomierzu. Należał do bliskich współpracowników, zabiegających o koronę Władysława Łokietka, a równocześnie do przeciwników germanizatorskiej polityki biskupa krakowskiego Jana Muskaty. Za Łokietka (1320 — 1333), w roku 1320, po wygnaniu Muskaty został biskupem krakowskim. Odnacza się działalnością w zakresie ustawodawstwa (wydaje statuty), wiele pracy wkłada w odbudowę spalonej w 1305 r. katedry św. Wacława na Wawelu. On to wykonał i to według swych własnych planów — obecny korpus krakowskiej świątyni.

W roku 1326 dochodzi do ostrego konfliktu z królem na tle — jak powiada Długosz — wymiaru sprawiedliwości i obrony praw Kościoła. W czasie tego sporu król w uniesieniu spoliczkował biskupa. Nankier zniósł obrazę w pokorze lecz musiał ustąpić z diecezji krakowskiej. Tadeusz Silnicki (w Historii Śląska, Polskiej Akademii Umiejętności t. II s. 213) postawił hipotezę, że zasadniczym powodem sporu mógł być wydany przez Nankiera statut o podatku kolejowym, który odtąd miał być pobierany z uwzględnieniem wysokości progresji. Istotnie, następcą Nankiera na krakowskiej stolicy biskupiej statut ten odwołał. Lo-

o zachowanie polskości. W 1339 Kazimierz Wielki ratyfikował umowę z 1335 r., w której zrzekł się Śląska na rzecz germanizatorskiej dynastii Luksemburgów, królów Czech.

Król Jan Luksemburczyk zażądał od Nankiera, aby wydał mu należącą do kapituły wrocławskiej, twierdzę Milicz, uważaną za klucz do Królestwa Polskiego. Nankier odmówił i polecił załozce twierdzy stawić opór. W wyniku oblężenia przez wojsko króla Jana wsparte przez załogę miasta Wrocławia twierdza padła. Wówczas Nankier w towarzystwie 4 polskich kanoników udał się do bawiającego we Wrocławiu króla (w klasztorze przy obecnym placu biskupa Nankiera). Po trzykroć żądał oddania twierdzy Milicz, a gdy król odmówił, wyłączył go z Kościoła. Gdy obecni przy tym rajcowie miasta Wrocławia zaczęli wołać: „jak możesz własnego króla wyklinać”, Nankier złożył króla Jana, mówiąc o nim, że nie jest on królem, lecz tylko „królewiatkiem”, do słownie „regulus”, że królem polskiej ziemi, jaką jest Śląsk, może być tylko Polak i na koniec ekskomunikował również owych rajców. To wydarzenie nabrało tak wielkie go rozgłosu, że przechowała się do dziś dnia pismna o nim relacja, podająca treść każdego słowa, wypowiedzianego przez biskupa.

Na tym tle doszło do zaostrenia walki z jednej strony między Nan-

Sl. CZCIBOR

E W A N G E L I A

Nie zostane snem w niepamięci,
gwiazdą, która przećina nieboskłon,
Twoja miłość me usta usłwieci,
bym mógł mówić Twą prawdę boską.

Bym przez chwilę na wzórzu jak krzyż stał
i by do mnie przybito Twe ręce,
bym za Ciebie umarł i smartnychwestał,
i za Ciebie — Twoje miał serce.

By mnie miłość zlamata pod niebem,
bym nie upadł przed samym wejściem
— Twej miłości mi tylko potrzeba
i słów łaski z Księgi Dobrej Wieści.

Barbara MAŃCZAKOWA

Mickiewicz w literaturze bułgarskiej

WYDAJE się wprost nieprawdopodobne, jak mało interesujemy się dziejami literatury polskiej poza granicami naszego kraju. Często wypowiadane opinie o hermetyczności naszej niezrozumiałości dla innych narodów literatury, o naszym opóźnieniu kulturalnym w kluczającym nowatorstwie poetów i pisarzy, powtarzane wielokrotnie przez bardziej czy mniej wytrawnych krytyków literackich, od lat przywykłyśmy przyjmować bezkrytycznie, nie starając się wnikać w głąb zagadnienia. A tymczasem wystarczy rzut oka choćby na biografie utworów polskich tłumaczonych na języki obce, by już częściowo zachwiać naszą opinią.

Ale dopiero bliższe zainteresowanie się literaturą krajów słowiańskich wskazuje, jak silnie wnikała twórczość polska w obcą. Ogólnie znane kontakty osobiste i literackie Mickiewicza z współczesnym mu światem literackim rosyjskim, a przede wszystkim z Puszkimem, nie są wyjątkiem. Poezja Mickiewicza, podobnie zresztą jak ongiś Kochanowskiego, znana była i ceniona w całej Słowiańszczyźnie. Liczne tłumaczenia, artykuły krytyczne, a w szczególności utwory, w których można dostrzec wpływ twórczości polskiej na literatury czeska, słowacka, ukraińska, bułgarska, białoruska, są tego najlepszym dowodem.

W niniejszym artykule postaramy się najszybciej przekazać do literatury bułgarskiej.

PIERWSZE PRZEKŁADY

Pierwsze wiadomości o Mickiewiczu, pierwsze tłumaczenia jego poezji pojawiają się w drugiej połowie XIX w., w okresie tworzenia się współczesnej literatury bułgarskiej. Piśmiennictwo bułgarskie, świetnie rozwijające się w IX i X, wraz z upadkiem państwowości bułgarskiej przestaje istnieć. Pod koniec bowiem X w. Bułgaria dostaje się w dwa wieki trwającą niewolę bizantyjską, a w w. XIV w. pięciowiekową niewolę turecką. Upadek niepodległości uniemożliwia rozwój literatury, która odradza się dopiero wtedy, gdy zaczyna się rządzić państwa tureckiego, a więc w w. XVIII. Jest to okres renesansu bułgarskiego. Zapoczątko wuje go obudzenie się świadomości narodowej, które pociąga za sobą odrodzenie się literatury, oczywiście z początku popularno-dydaktycznej. Cała pierwsza połowa XIX w. to okres usilnej pracy nad odrodzeniem umysłowym Bułgarii.

NIE mając własnych tradycji literackich sięgnęli Bułgari do literatury pobratymczego narodu rosyjskiego, która z jednej strony tak ze względów politycznych (Rosjanie w 1878 r. wyzwolili Bułgarię spod jarzma tureckiego) jak i ze względu na podobieństwo języka była im najbliższą, z drugiej zaś strony była najbogatszą i najrozszerzoną z literatur słowiańskich.

Z Mickiewiczem zetknęli się Bułgari właśnie na terenie poezji rosyjskiej, bo odkryli poetę polskiego w tłumaczeniach rosyjskich. Toteż cechą charakterystyczną pierwszych przekładów Mickiewicza jest, że są to tłumaczenia z drugiej ręki, dokonane nie z oryginału, ale z przekładu rosyjskiego.

Jeden z najwybitniejszych powieściopisarzy bułgarskich, a równocześnie i poeta, który odegrał wybitną rolę w życiu kulturalnym swego kraju, Iwan Wazow, wprowadza poezję Mickiewicza do literatury bułgarskiej. Wazow tłumaczy trzy Sonety krymskie, Epilog Pana Tadeusza i Alpuhary. Przekłady umieszcza w chiromatologii bułgarskiej wydanej w 1834 r.

Tłumaczenia Wazowa nie z oryginału, ale z przekładu rosyjskiego, oczywiście nie mogą być wierne, niemniej dzięki temu, że Wazow sam był poetą, dużo w nich czaru i piękna poezji Mickiewicza. Najbardziej wypadły przekłady sonetów, które zawsze jako gatunek literacki o formie ściśle ustalanej nastrożają dużo trudności.

Ciekawy jest przekład Epilogu Pana Tadeusza. Wazow tłumaczy go zropaczony był wewnętrzny ważniaki i brakiem porozumienia w świeżo powstałej Bułgarii i w przekładzie wypowiedział swoje marzenia i dążenia. Utwór polski przekładał tak, by wszystko w nim

odpowiadało sytuacji jego kraju. Z Mickiewiczowskiego Epilogu 40-mującego 130 wierszy zostało 40, ponieważ Wazow opuścił wszystko to, co odnosi się wyłącznie do Polaków: zwrot do przeszłości, aluzje do politycznych i literackich tradycji ówczesnej Polski. Pozostał tylko obraz nieszczęśliwych wygnanców, przesładowanych przez obcych, gnębionych wewnątrz klótniami.

Tłumaczenia Wazowa wzbudzają zainteresowanie poetów bułgarskich, przekłady mnożą się. A wraz z nimi pojawia się coraz więcej publikacji poświęconych Mickiewiczowi. Niestety tłumaczenia pozostawiają wiele do życzenia.

Podobnie jak Wazow trzy Sonety krymskie przełożył również z wierszy rosyjskiej innej poetki bułgarskiej, Kirył Christow, ale o ile Wazow w tłumaczeniu sonetów i Alpuhary starał się o zachowanie wierności, to Christow o to nie dbał. W jego przekładach znikają wspaniałe mickiewiczowskie metafory, a często nawet zmieniona bywa myśl poety. W tłumaczeniu np. „Stępów akermanskich Dniestr zamienia się w Dniepr, a zakończenie sonetu, w którym Mickiewicz wyraża rozpacz spowodowaną tym, że w jego ukochanej Litwie o nim zapomniano, zmieniono na beznamienne wyrażenie chęci usłyszenia głosu z Litwy. Podobnie w przekładzie „Bakcyseraju” zamiast sprzeczności między przemijalnością potęg tego świata a wiecznością przyrody jest jedynie smutek — że w pałacu Girajów (nie Giraja, jak w oryginale) nie ma już miejsca dla sławy, władzy i miłości.

Z ORYGINAŁU tłumaczył Christow Kesjakow, który język polski poznał w czasie studiów prawniczych na uniwersytecie lwowskim. Kesjakow przełożył wiele: sześć Sonetów krymskich, pięć ksiąg Pana Tadeusza (ks. I — IV i ks. VII), „Konrada Wallenroda”, „Powrót Taty”. Niestety, tłumaczenia jego są jeszcze gorsze niż poprzednie. O ile bowiem Wazow i Christow są poetami i mimo wszystko ich przekłady tchną poezją, to w tłumaczeniach Christowa namuże beznadziejna proza. Zgodność myśli i obrazów przekładu i oryginału pozostawia wiele do życzenia.

Jedyną całkowicie przekład „Pana Tadeusza” pochodzi z 1901 r. i jest również bardzo słaby. Tłumacz Efreim Karanow przekładał z języka polskiego, którego nie znał dobrze, poeta nie był, a ponadto w czasie gdy tłumaczył, bułgarski język poetycki był dopiero w początkach swego artystycznego rozwoju. Toteż tłumaczenie Karanowa jest nieudolne, wiersz wymęczony, nie ma w nim ani śladu obrazowości poezji Mickiewicza. Przede wszystkim rzucają się w oczy rozszerzenia tekstu. O ile oryginał ma 9.713 wierszy to przekład ma ich 12.436, czyli o 13 więcej. Często tłumacz nie rozumiejąc oryginału przekłada błędnie, a nawet wręcz bezsensownie.

Ale w Bułgarii nie tylko spotykamy nieartystyczne i błędne tłumaczenia poezji Mickiewicza. Z biegiem lat, gdy coraz bardziej kształtował się poetycki język bułgarski, gdy coraz więcej było utalentowanych poetów, pojawiają się piękne i wierne przekłady. Taką utalentowaną tłumaczką poezji Mickiewicza jest Dora Gabe, znana poetka bułgarska, doskonale władająca językiem polskim. Nie tłumaczyła wiele, bo jedynie cztery wiersze z „Pana Tadeusza”, dwa Sonety krymskie, wiersz „Do samotności” i „Arcymistrza”, ale w swych przekładach wiernie oddała piękno poezji Mickiewicza. Obecnie „Pana Tadeusza” tłumaczy Błaga Dymitrowa, której przekład podobno również stoi na wysokim poziomie artystycznym.

ROSNĄCE ZAINTERESOWANIE

MIMO słabych tłumaczeń utworów Mickiewicza stają się z końcem XIX w. w Bułgarii coraz bardziej popularne. Poznawane z przekładów rosyjskich i niemieckich wywierają wpływ na poetów bułgarskich. Obrazy przypominające wiersze „Sonetów krymskich” spotykane w utworach bułgarskich to tylko zewnętrzne, powierzchowne oddziaływanie twórczości Mickiewicza. Prawdziwie jego poezja wpłynęła dopiero na jednego z najwybitniejszych poetów bułgarskich Pencza Sławejkowa.

Sławejkow (1866 — 1912) był w bitnym neoromantyzmie bułgarskim i przywódcą grupy literatów zwanych „Młodą Bułgarią”. Twórczość swoją zaczął od liryki, w których wzorował się na Heinem. Wslawił się pieśniami epickimi, wątki czerpał do nich z poezji ludowej. Jego twórczość zaciążyła na całym okresie literatury bułgarskiej od dziewięćdziesiątych lat ubiegłego stulecia do czasów I wojny światowej. Największym dziełem jego życia jest „Krwawa Pieśń” pisana pod wpływem „Pana Tadeusza”.

Z poezji Mickiewicza zapoznał się Sławejkow w czasie studiów w Lipsku, prawdopodobnie dzięki tamtejszemu profesorowi Johannesowi Volkeltowi, znanemu niemieckiemu filozofowi, który w książkach poświęconych zagadnieniom estetyki i filozofii Mickiewicza stawia obok Szekspira, Schillera i Goethego.

W czasie ostatnich lat studiów w Lipsku ogłosił Sławejkow studium pt. „Adam Mickiewicz”, w którym dał wnikliwą analizę „Dziadów” i „Pana Tadeusza”. „Pana Tadeusza” porównuje z „Wojną i Pokojem” Tokstojana, uważając oba dzieła za największe arcydzieła epiki XIX w.

W tym to właśnie czasie zaczął Sławejkow pisać „Krwawą Pieśń”. W Lipsku powstał plan epepej i na pisane zostało preludium oraz pieśń II i III. Dalsze pieśni pisał poeta bułgarski przez całe życie, ostatnie tworzył na łóżu śmierci. Umarł nie dokończony dzieła. Całość obejmuje 9 pieśni, ale wykonanych jest tylko sześć, z dalszych napisane zostały jedynie fragmenty.

NIEDOKOŃCZONA EPOPEJA

TREŚCIĄ jest epepeizacja nieudolnego powstania Bułgarów z 1876 r., które wybuchło w Kopriwzhticy, Panagjuriszte i Klisurze. Po wstąpieniu kierowała rada wojenna. Powstanie umieścawia Sławejkow w Kamengradzie i na Szybec, na tle Bałkanów. Główni bohaterzy epepej, Mladen i Wojwoda, są przywódcami powstania.

Wojwoda jest wodzem nacelnym, dąży do władzy dyktatorskiej. Przeciwstawia mu się Mladen, wyraziciel demokratycznych dążeń Bułgarów. Mladen, wierząc w wielkość i potęgę narodu bułgarskiego, występuje przeciw despotyzmowi, który ogranicza indywidualność Bułgarów. Powstańcy oddają władzę w ręce Wojwody. Urażony Mladen odchodzi. Starzec Diwisil, pop Matej — ojciec Weły, narzeczony Mladena, tłumaczy mu, że powstanie może się udać tylko wtedy, gdy na jego czele stanie on i Wojwoda. Ulegając ich namowie i nie chcąc w chwili ogólnego entuzjazmu przeciwstawiać się narodowi, Mladen godzi się z Wojwodą. Wybuch powstania, powstańcy zdobywają konak rządowy, opanowują Kamengrad. Przed decydującą bitwą słuchają Mszy św. w cerkwi, po czym idą na przylecie do obywatela kamengradzkiego Dojczina. Zapal ogarnia wszystkich. Tymczasem nadejmuje wojska tureckie. Młodzi junacy z nadzwyczajnym męstwem starają się powstrzymać niezliczone masy Turków. Niestety bohaterstwo Bułgarów jest daremne, trup leży na trupie, hordy tureckie wpadają do miasta. Ginie Wojwoda, trup jego zwisa na szyi białego araba. W mieście Turcy mordują starców i kobiety. Ginie Weła, umierając widzi Turków pastwących się nad jej ojcem. Długo po rozgromieniu powstania w Kamengradzie nad życiem mieszkańców wisł groza śmierci. Turcy w noc napadają na spokojnych mieszkańców i mordują ich. W domu Dojczina pasza odbył sąd nad spiskowcami. Zegarnistrza kamengradzkiego powieszono na wieży, głowę Wojwody wbito na pal.

Rozgromione szeregi powstańców ukrywały się w górach Bałkanu, skąd jeszcze przez pięć miesięcy dochodziły odgłosy strzelaniny. Wśród powstańców był Mladen, który tłumaczył towarzyszom, że ich ofiara odkupi grzechy narodu, że tkwi w niej plód, z którego zrodzi się niepodległość. Trzeba tylko czekać na pojawienie się „Białego generała”, którego nadejście zapowiadał mądry starzec Diwisil, on to powiedzie Bułgarów do zwycięstwa. I jeszcze raz uderzyli junacy na Turków, polała się krew, trupy pokryły ziemię. Jedną z pierwszych ofiar był Mladen, ale umie-

rając ujrzał nadchodzącego „Białego generała”.

„Krwawa Pieśń” jest epepeją narodową i syntezą wszystkich motywów poezji bułgarskiej. Sławejkow dał w niej świetny dialog i uniesmiertelniał język ludowy. Wprowadził wreszcie dwa nieznanne poezji bułgarskiej motywy: liryzm i symbolizm.

Dla Sławejkowa poezja Mickiewicza jest wzorem, ale przede wszystkim stanowi bodziec do indywidualnej twórczości. Punktem wyjścia obu poematów jest zwrot do kraju lat dziecińczych, przedstawiony w Epilogu Mickiewicza i Prologu Sławejkowa. Oba utwory są liryczne i elegijne. Ale o ile Polska wymalowana jest obrazami konkretnymi, to Bułgaria przedstawiona jest wizjonersko w tektnej pieśni umierającego junaka Zmieniający się ton Epilogu Mickiewicza przechodzi od oburzenia, rozczarowania i pragnienia zemsty poprzez tęsknotę i miłość aż do ukolenia. Odmiennie Prolog Sławejkowa cały utrzymany jest w jednolitym, cichym i tęsknym tonie.

„PAN TADEUSZ” I „KRWAWA PIEŚŃ”

W „Panu Tadeuszu” na tle epepej napoleońskiej ukazany jest obraz ginącej szlacheckiej Rzeczypospolitej. W „Krwawej Pieśni” obraz narodu bułgarskiego rzucony jest na tło epepej powstania kwietniowego. Sławejkow uważał, że odgranicza ono dzieje dawnej i nowożytnej Bułgarii. W obu poematach zdarzenia historyczne rzucają światło na wszystkie postacie. Dzieło oswobodzenia ojczyzny przygotowało się szybko, uniesienie staje się ogólnie, skłócone ze sobą rody („Pan Tadeusz”), czy wodzowie („Krwawa Pieśń”) jednoczą się, by działać razem przeciw wspólnemu wrogowi. Oba poeci uchwycili w swych epepejach moment historyczny, gdy narodowe cechy były najczystsze i gdy żyli epicy bohaterowie. Takimi bohaterami byli w Bułgarii Rakowski, Lewski, Botew, Benkowski; Sławejkow przedstawia ich jako Wojwode, popa Mateja, Chaszłaka Mladena.

KOMPOZYCYJNIE można „Krwawą Pieśń” podzielić podobnie jak „Pana Tadeusza” na trzy zasadnicze motywy. I tak 1) motywowi oswobodzenia Polski odpowiada motyw wyzwolenia Bułgarii, 2) motywowi sporu Horreki i Senfow odpowiada konflikt między Wojwodą a Mladem, 3) motywowi miłości Tadeusza do Zosi odpowiada ślankowa miłość Mladena do Weły.

Epepeję Mickiewicza wypełnia szeroki obraz życia polskiego w jego najbardziej typowych narodowych formach. Podobnie Sławejkow, choć w mniejszym zakresie, przedstawia typowe przejawy życia bułgarskiego. Tak jak Soplucowo jest centrum polskości, tak Kamengrad jest centrum bułgarskości. Sławejkow wstrzymuje akcje, by opisać jego życie, a w opisie domu Dojczinowego wzrzuje się na obraz Dojczin. Związujący się na burzliwym zebraniu u Dojczina Chaszłaka swą „necieczą do wszelkich dyskusji, ale za to zdolnością do czynu przypomina Kropociela. Zebranie dzieło się na dwie grupy, a starzec Diwisil, podobnie jak Maciek Dobrzyński, wśród ogólnej wrzawy pozostaje nieporuszony.

Tak jak Chaszłak przypomina Kropociela, a Diwisil Maćka, tak i Mladen wziął pewne rysy z Tadeusza, choć zasadniczo bardzo się od niego różni. Oba są wyrazicielami typowych cech swego narodu, obaj głęboko kochają ojczyznę i wierzą w jej wielką przyszłość. Tylko o ile Mickiewicz w „Panu Tadeuszu” chciał przedstawić przeciętnego, konkretnego Polaka, o tyle Mladen jest wyidealizowany, bo skłania w sobie same najbardziej pozytywne cechy psychiki bułgarskiej: dążenie do kultury duchowej, do twórczych wysiłków, wytrwałość, dzielność i głęboką wiarę w wielkość narodu bułgarskiego.

ODMIENNE zakończenie obu epepej tłumaczonego różnorodnością psychiki polskiej i bułgarskiej. Przede wszystkim jednak w „Krwawej Pieśni” bohaterzy dążą nie tylko do wyzwolenia swego kraju, ale i do wyzwolenia swej ośchłki, która przekształca się na kartach epepej. Niewolnik dnia wczorajszego staje się żywą indy-

widualnością. Dlatego choć powstanie się nie udaje, pod koniec utworu czuje się wiew zwycięstwa.

Różnica między obu epepeami tkwi nadto w odmiennym podłożu socjalnym. Sławejkow nie przedstawia, jak Mickiewicz, warstwy szlacheckiej, ale chłopską.

Wiele epizodów „Krwawej Pieśni” przypomina epizody „Pana Tadeusza”. Legenda Bakawów jest odpowiednikiem apstrofy do drzew litewskich, z tą tylko różnicą, że przyroda u Sławejkowa jest bardziej nastrojowa niż u Mickiewicza. Elementu nastrojowego nie ma jedynie w opisie siedzib woźnych, które można porównać z mickiewiczowskimi matecznikami.

PARAFRAZA ks. I „Pana Tadeusza” takie były zabawy, sory w one lata dała w „Krwawej Pieśni” w pieśni pierwszej opis nastroju przed powstaniem i zebrania spiskowców. Rada w pieśni drugiej, w której bierze udział tłum przypomina radę w Dobryniu. Ten sam cel obrad: powstanie przeciw obcej władzy. Podobne ostre sorczeki, tak samo powstające dzieła się na dwie partie. Tylko że dynamicznemu opowi Mickiewicza nie dorównuje statyczny Sławejkow, a świetnie oddany w „Panu Tadeuszu” ruch mas w „Krwawej Pieśni” się nie wywydatnia.

Podstawą opisu pałacu w domu Dojczina jest tarza Achillesa, niemniej przypomina on i serwis Soplucow. Na pięknym pałacu wymalowane są cztery pory roku. Ołów w obrazie zimy jest przedstawione wesele bułgarskie, które ma wiele punktów styczności z przyjęciem u Soplucow. Przy stole, nakrytym białym obrusem, siedzi na głównym miejscu por ze swatami, koło nich według starszeństwa cały ród. Pan młody obchodzi wszystkich trzymając w ręku drewnianą flaszkę i częstuje gości Panna młoda na czoło ma wieniec, na twarzy zasłonę. W kacie, zbite w gronach, stoją dzieci.

Biesiada u Dojczina wzorowana jest na „Panu Tadeuszu”. Dojczin przyjmuje Wojwode, tak jak Wojski przyjmował polskich generałów. Jego żona, ciesząc się apetytem gości, przypomina Wojskiego, a ich nieśmiałość, odświeżenie ubrana córka, podająca Wojwodzie pagacze (rodzaj ciasta) — Zosi.

Jedynie epizody komiczne: dialog kamoszek kamengradzkiej i pisanie pamiętników przez Welina — to też prawdopodobnie wpływ poezji Mickiewicza. Sławejkowowi bowiem humor był nieznany i możliwe, że jego ślady dostały się do „Krwawej Pieśni” tylko dzięki „Panu Tadeuszowi”.

„Krwawa Pieśń” wreszcie, prawdopodobnie skutkiem ciągłego rozczytywania się poety bułgarskiego w „Panu Tadeuszu”, pisana jest 13 zesłokowem.

STOTNYM składnikiem epepej Pencza Sławejkowa jest poezja Mickiewicza. Wpływ jej przenika w głąb utworu i tworzy barwne plamy na jego powierzchni. Natrafiamy na podobieństwa poszczególnych obrazów, sytuacji czy charakterów, a nawet głównych nurtów ideologicznych i kompozycyjnych. Należy jednak zaznaczyć, że u Sławejkowa, wielkiego narodowego poety bułgarskiego, nie jest to zagadnienie naśladownictwa. Poezja Mickiewicza była dla niego natchnieniem, rozczytywanie się w niej psczerzało jedynie jego indywidualność. Podobnie oddziaływują wszystkie utwory literatury świata. Tysiące tworzyły pod wpływem „Iliady” Homera czy dramatów Szekspira, co wcale nie umniejszało indywidualnej wielkości tych, co szli ich śladami.

Mickiewicz, jakkolwiek za czasów Sławejkowa nie miał jeszcze w Bułgarii prawdziwych artystycznych przekładów, to jednak — dzięki genialnej intuicji samego Sławejkowa — przemówił do narodu bułgarskiego z ksiąg jego „Krwawej Pieśni”.

Dopiero najnowsze czasy odstąpić zaczęły Bułgarom postać i twórczość Mickiewicza w całej pełni, dzięki temu, że twórcy bułgarscy sięgnęli do samego źródła, że tłumaczy Mickiewicza bezpośrednio z języka polskiego, a poznając go nie tylko jako poetę i artystę, ale także jako działacza politycznego i społecznego, głosiłcia hasła postępu, równości społecznej i sprawiedliwości międzynarodowej, dopiero dziś potrafią do głębi ocenić znaczenie jego dzieła dla Polski i całej Słowiańszczyzny.

Barbara Mańczakowa

— Wysłałem ten list do Helmutha Biela, właśnie do autora tego wiersza, pozwól, zaraz ci tę gazetę zwrócę, przepisz tylko adres redakcji. Edward wystukał na kopercie:

An Herrn
Helmuth Biel
in...
„Aussiedlerzeitung
Wilhelmstrasse 7

— Za listem pójdzcie paczka. To co widzisz na stole. Spakuje się i wysła. Teraz przeczytaj jego wiersz i notatkę biograficzną pod zdjęciem. Zresztą czeka, ten sam?

Równocześnie Edward wyjmował z przygotowanych do wysyłki materiałów album.

— O, tu jest młodszy, ale za to wyraźniejszy.

Zbyszko BEDNORZ

POWROTY I NAJAZDY

gotyk był jeszcze czytelny. O, jakie nierówne pismo! Takie pismo rodzi się w atmosferze nerwowości i pośpiechu. Litery krzywiły się grymasami. Jedne były ostre jak twarz hitlerowskiego żołnierza w kotle stalingradzkim, inne skulone w wyrach, małe, nachodzące na siebie, inne jeszcze rozwarłe jak oczy czło- wieka śmiertelnie przerażonego.

„Vati

Baildonhütte już od wczoraj nie pracuje. Miasto jest puste. Ciebie nie mogliśmy się doczekać. Johanowie spakowali się przedwczoraj i nocą ruszyli w kierunku na Glatz. Zabrała się z nimi mama i Hildegard. To wszystko straszne i niesłychane. Nic nie rozumiem. Ja dłużej już nie mogę tu być. Rusy idą ze wszystkich stron. Blockleiter Gorzoka mówił mi rano, że zajęli Hindenburg. Przywiąż do roweru Twoje święteczne buty i za chwilę wyjadę na Ratibor. Boję się, nie chciałbym tu zostać. Wczoraj w portierni było czterech robotników, poszedłem o 6-tej jak zwykle. Nie puścili mnie. Volksdeutsch Krupa, do którego miałem takie zaufanie groził mi i Tobie. Psy!! Przeklęty kraj. Przydałby się znów Heydebreck ze swoimi wilkami. Zuckerbonbons są w spiżarni na pierwszej półce od okna. Mama usmażyła specjalnie dla Ciebie.

Heil

Twój Helmuth

W razie czego szukaj nas u dziadków w Darmstadt”.



Tego dnia postanowiłem zostać dłużej u Edwardów. Byli podnieceni i potrzebowali rozmowy z kimś bliskim. Paczkę do Helmutha Biela mieli wysłać dopiero nazajutrz. Śle dzieliśmy długo w noc. Dziecko już od paru godzin spało w sąsiednim pokoju. Tramwaj przejeżdżał popod oknami. Zadzźwięczały szyby. Pokój napelniał się błyskami. Wyraźnie ogarniałem rzeczywistość tego mieszkania pożandarmskiego Bielów, w którym siedzieliśmy obecnie; miałem świadomość historyczności tego przeżycia.

— Poszliśmy z Edwardem na cmentarz, na grób matki Edka, zmarła w 41 roku, siedem miesięcy przed wykończeniem ojca w Gusen. Ale, ale zamyślił się pan, naleję panu świeżej kawy, dobrze?

Było tu przyjemnie i przytulnie, jak wszędzie tam, gdzie ludzie się kochają i posiadają ów wewnętrzny ład, jaki jest podstawą wszelkiego człowieczego pokoju.

— Ach, jakie to bezcelne i głupie, wie pan, jego powrót będzie pokarmem dla jaskółki, która straciła gniazdo...

— Na cmentarz zaprowadziła nas niejaka pani Morgała, sąsiadka Twoich rodziców, prawda Edku, do bra kobieta, posadziła bluszcz i paliła świeczki na Wszystkich Świętych. To było wszystko, cośmy zastali. Mieszkanie rodzicielskie Edka przerobione na biuro, z rzeczy nic. — Rzeczy głupstwo, rzeczy są do nabycia... Życie było, była atmosfera, dom rodzinny. Zresztą zostawmy to.

EDWARDÓW znałem od kilku lat. Jeszcze z Warszawy. Po- tem byłem w końcu 1944 roku na ich skromnym ślubie w Piotrkowskim, gdzie się oboje ukrywali przed hitlerowcami i skąd też zaraz po przewaleniu się frontu, ruszyli drogą przez Częstochowę na Śląsk. Ich powrót po niemal pięciu latach tułaczki, tęsknoty, walki cechowała radość i ciekawość nowego życia. Cały majątek Edwarda i Izy mieścił się w dwóch walizkach i teczce. Nie ma w tym nic szczególnego. Takich powrotów z niczym i do niczego było miliony. Toteż Edward i Iza nie rozmawiali o tym przedtem. Dopiero dziś poruszyło ich to warknięcie Bielów z odległości.

Mówiliśmy więc o różnych powrotach ludzkich. Powiedziałem: — Oczywiście Helmuth Biel mówi „powrót”, ale to znaczy wojna i podbój. On chce w nowej wojnie ocalić coś z samej istoty hitleryzmu. Przemawia przez niego duch złych dzieł.

— Niech pan spojrzysz, przesyłam im ten obraz „Ostatniej Wierzy” krzyż, który stał na komo- dzie i mszałik; mszałik leżał w szufladzie nocnego stolika, przy łóżku zapewne matki Helmutha. Byli katolikami, bez wątplenia katolikami praktykującymi. Kiedyśmy tu po raz pierwszy weszli z urzędnikiem biura mieszkaniowego, czuliśmy się oboje z Edkiem źle. Stało przed nami otworem czyjeś całkowicie urządzone mieszkanie, materialny kształt rodzinnej społeczności, w którym jest zawsze, mimo wszystko, zamknięta tajemnica cudzych losów. Nie jest prawdą, że człowiek wynosi z sobą wszystko, gdy opuszcza mieszkanie i że się rodziny nase, to znaczy my z Bielami, nie znamy. Zdałem milicji płaszcz i mundury żandarmskie, oczywiście kajdanki, kilka sztuk amunicji, zna lezionej w biurku. Na śmietnik wyniosłem, już nie pamiętam ile, wiader pobitych figurek z gipsu, plaketów, makulatury propagandowej, portretów, obrazków i całej okropnej tandety, to jest różnych przedmiotów kultu wodzów hitleryzmu. Nie taję. Urządziłem pogrom. Ocalało tylko to, co stanowi najbardziej prywatną własność człowieka... Masz to wszystko w tej paczce. I to im odsyłam. Głupi Polak? Może tak ktoś powie. Ale — nastąpiła chwila milczenia — ale ko- mu wszystko przepadło jak mnie, wiele rozumie z ludzkich spraw.

Zdanie było dokończone, a przecie- cież nie zakotwiczyło się w kropce. Zawisło w ciszy, którą podtrzymy- wało ujadanie psa, pilnującego ja- kichś dóbr, zapewne związanych z człowiekiem.

— W tej paczce pragnę im wy- słać ich człowieczeństwo, jakie by ono nie było. Mówiąc szczerze, nie przeżyli nic szczególnego.

Edward miał rację, nie przeżyli nic szczególnego. Przekonałem się o tym sam owej nocy, która dała mi to, że jaśniej dziś widzę Hel- mutha.

Zrobiło się bardzo późno. Zdecy- dowałem się przenoćować u Edwardów.

Po ich odejściu do siebie zacząłem rozkładać papiery Bielów, po prostu rozkładać ich życie. Skąd wziął się Helmuth i jego warknię- cia, żądające wojny? Jak rósł w nim ów szatan, który obraża tak „poetycko” Tego, który jest Miłością i Pokojem oraz całą ludzkość tym „powrotem” do „gniewnych hut, które cieszą Boga, gdy rodzą żelazo” i tym swoim nadczłowie- czym „chcę”: „chcę, by cały świat mój powrót jak chorągiewniost, chwala hitlerowskim armiom”.

Są powroty Edków i „powroty” Bielów, powroty prawdziwe i powro- ty fałszywe czyli najścia. Przeży- wamy to w Europie po wojnie nie na miarę lat ale wieków. Nie odby- wają się te procesy w granicach po- jedynczych ludzi, ale uczestniczą w nich całe masy narodowe. To nie są rozliczenia życia jednej genera- cji, ale rozliczenia życia całych po- koleń. Czy Helmuth Biel pojmie to kiedykolwiek? Miał okazję pojąć kiedy przywiązywał do roweru świę- teczne buty ojca zimą 1945 roku i z miną człowieka śmiertelnie prze- rażonego ruszał przed „Rusami” na Racibórz. Ruszał?

Raczej uciekał.

„Odpis

Prośba o przeniesienie na tere- ny wschodnie Rzeszy (Ostgebiete). Uniżenie proszę o przeniesie- nie służbowe na tereny wschod- nie Rzeszy, a mianowicie na Gór- ny Śląsk, gdzie pragnąłbym się poświęcić wiernej i odpowiedzial- nej pracy nad umocnieniem Oj- czyzny. Przeniesienie to będę traktował jako dowód zaufania i akt wielkiego zaszczytu.

Z niemieckim pozdrowieniem

Johan Biel

Berlin, 15 stycznia 1940 r.

(dopisek ołówkiem) wysłane J.E.”

Ten papier charakteryzował ich nadzieje. Długo żyli w Darmstadt w oczekiwaniu zmiany. Los naresz- cie zaczął się uśmiechać. Gdy mała kawiarenka prowadzona przez Jó- zefinę Biel w okolicach t. zw. „kol- onii artystów” na wzgórzu Matyl- dy musiała ulec likwidacji z powo- du trudności podatkowych, gdy mąż jej Hans, pracujący w heskiej Landesbibliothek jako palacz, zna- laż wreszcie po długich prośbach protekcję Richarda Waltera Hutt- machera w Berlinie. (Ojciec Hansa był u starego Hutmachera lokajem — i poprzez niego dostał się do po- licji w samej stolicy Trzeciej Rze- szy). Józefina Biel w modlitwach porannych i wieczornych mówiła dziękczynnie: „Bądź uwielbiony Bo- że, który nie opuszczasz sług swo- ich i błogosławieństwo Swoje zsy- lasz na nas grzesznych”. Wybuchła wojna. Los zaczynał być jeszcze la- skawszy.

„Piszesz Józefino, że jedziecie na Ostgebiete, ponieważ tam można dojść do czegoś, masz rację kocha- na Józefino. Widzę — pisała jakaś Luiza do matki Helmutha—że na- strój pesymizmu, jaki Cię przesła- dował, gdyśmy się ostatni raz wi- dziali na Unter dem Hochzelt- sturm minął chyba bezpowrotnie, prawda? Cieszę się razem z Tobą z powodu przychylniej odpowiedzi,



jaką otrzymał Twój mąż w sprawie Waszego wyjazdu na Śląsk. Wyobra- żam sobie z jakim teraz zapałem deklamuje Wasz Helmuth ów wiersz „Die wilde Jagd”, który jest naprawdę na czasie. No, tam na Śląsku będzie mógł sobie zapolo- wać. Kochana Józefino! w zupeł- ności podzielam Twoje zdanie, że wojny są konieczne, bo życie tylu ludzi nabiera nowych wartości, choćby u was na przykład. A to, że my tych głupich Polaków wyzwa- lamy z nędzy czy to też nie zastu- ga? Twój Hans ma rację, mówiąc,

że epoka Hitlera, to epoka wyzwala- nia świata z niewoli żydowskiej, chrześcijańskiej i komunistycznej. Ciesz się, że to wszystko rozumi- esz i że mimo twego katolicyzmu nie jesteś pod tym względem cła- na. Jak będziecie już w Baildon- hütte napisz, tylko dużo...”

BRĄLEM dą ręki papiery. Ko- respondencja prywatna widać była załatwiana przez Józefinę, bo właśnie do niej głównie adresowa- no listy. Z wysyłanej koresponden- cji robiono odpisy. Osobną grupę stanowiły listy związane ze sprawą jakiegoś fortepianu. Zawiła sprawa, w której powtarzało się nazwi- sko Gerhard Holzer i dr Wenclawski. Zorientowałem się tylko tyle, że niemiecki urząd powierniczy nie chciał przydzielić żandarmowi tego instrumentu, ponieważ za słabo by- ły umotywowane zasługi w stosun- ku do Trzeciej Rzeszy. Żandarm się bronił, podawał swe zasługi, os- karżał wreszcie inspektora Glückka o robienie interesów na meblach wysiedlonych i aresztowanych Pol- laków. Na końcu list pisany ręką Józefiny, dziękujący inspektorowi Glückowi, „żeśmy dzięki łaskawemu panu mogli się trochę podrepe- rować finansowo”. Dlaczego listu tego nie wysłano? Prawdopodobnie



podziękowali mu inaczej, by się nie narażał.

Gra w kości, handel mieniem polskim. Zdobywcy nie mieli skrupu- łów. Wyzwalali ludy z nędzy.

A Helmuth rósł.

Im bardziej „zabezpieczony” i „pewniejszy” stawał się świat — pewność tę zapewniały Trzeciej Rzeszy armie hitlerowskie, które w gazetach zawsze i wszędzie były gó- rą i bity, gromiły, uderzały, topiły, zestrzeliwały, brały do niewoli itd. — tedy im pewniejszy stawał się świat, tym bardziej stabilizowała się ograniczoność Helmutha. Ogra- niczoność narodowo-socjalistyczna: tępy wzrok widział coraz mniej i tępa myśl pojmowała tylko sprawy przyrządzone przez Schiracha i Goebelsa.

Nie trudno mi było odcyfrować jego przeżycia z prowadzonego przezeń dziennika. Manię pisania miał, jak z tego wynika, wrodzo- ną. Dziennik jest pewnym komen- tarzem do wiersza wydrukowanego w „Aussiedlerzeitung”.

7. lutego

Bardzo mi się podoba kasjerka z kina, Edyta. Jest rasowa, fajna nie mlecka Mädel. Nago pewnie wyglą- da pysznie. Ciekawym kiedy się u- kaze następny zeszyt „Pięknej ko- biety w naturze” Wilma Burghard- ta. Tego samego dnia wieczorem:

Wróciłem ze zbiórki. Za 10 dni idziemy do lasu chorzowskiego ówi- czyć się w gonitwie za polskim ban- dytą i szpiegiem. Ćwiczenia popro- wadzi ojciec.

10. marca.

Postanowiłem sobie złożyć ze- szyt, gdzie będę sobie wypisywał złote myśli. Przyda mi się na nasze zbiórki, albo nie, mogę to robić w tym dzienniku, nawet będzie lepiej. Rozpocznę od dziś, bo już mam do- bre zdanie o piękności. Wspaniałe! „Szukamy piękna, które się rodzi z siły. Piękno jest siłą i siła jest pięknem. Tak właśnie wyobrażamy sobie ideał, to znaczy człowieka ra- sy nordyckiej”.

11. marca

Skandal. Zapytałem dziś jednego Ślązaka kto napisał „Deutschland,

(Dokończenie na str. 9)

Włodzimierz WNUK

„Uwaga! Człowiek“. Uwaga! „Pokolenie“

SYTUACJA w naszej literaturze poprawia się. Zaczynają się bowiem pojawiać książki, które czytamy dlatego, że są po prostu dobrze napisane, a nie dlatego, że należy je z tych czy innych względów przeczytać. Po dość długim okresie, w którym brało się daną książkę do ręki, bo innej współczesnej nie było, bo była pionierska w tematyce, bo nie wypadła nie znaleźć pierwszej powieści o spółdzielni produkcyjnej, o uspołecznionej fabryce, o przodownikach pracy (choć wypadła nieraz setnie się przy tej lekturze ponudzić), nadeszła wreszcie pora na rzecz najnaturalniejszą, a zatem i najzdrowszą w świecie: sięga człowiek po lekturę, o której doszły go już słuchy, że jest interesująca, że się ją dobrze czyta. Takie „słuchy” niekiedy mylą, ale na ogół nie zawodzą.

Przekonaliśmy się o tym na sekcji prozy Oddziału Gdańskiego Z. L. P., kierując się owym „słuchem”, dobraliśmy się ostatnio do dwóch książek. Jedną z nich była: „Uwaga! Człowiek” Józefa Kuśmierka („Czytelnik” 1951). Nie wielka to i tenia książeczka — na 6 zł. każdego stać — omawiała na posiedzeniu sekcji Zofia Meissnerówna. Referentka zajęła się kolejno trzema nowelami wchodzącymi w skład książki, rozgraniczając dość wyraźnie dwie pierwsze od ostatniej, artystycznie słabszej. „Bieda Adachowej” i „Sprawa jednego konia” to nowele pięknie skonstruowane, stanowiące jakby artystyczne transformacje aktu oskarżenia: oskarżenia przeciw konkretnym wypadkom brutalnego i zbrodnicego wyzysku biedoty wiejskiej przez wiejskich bogaczy i spekulantów. Oba te utwory, w których autor tak świetnie operuje dedektywistycznymi chwytami gromadząc przed nami wstrząsające dowody zbrodni społecznej, są pełne dramatycznego napięcia (szczególnie w słynnej już „Sprawie jednego konia”)

narastającego z każdą chwilą i coraz silniej targającego sumieniem czytelnika. Kuśmierk dał tu naszej literaturze niewątpliwie coś nowego, mocnego! Sprawili to w dużej mierze jego język, niezwykle zwarty, oszczędny, poruszający do żywego właśnie swą oskarżycielską, lakoniczną rzeczywistością, odartą z wszelkiej metaforyki.

Krytycznie natomiast ustosunkowała się referentka do „Pożaru”, który tak formalnie jak i treściowo stoi niżej poziomu poprzednich nowel. Formalnie, bo konstrukcja tego utworu wyraźnie się chwieje: zbyt wiele tu wątków nierozpracowanych, niekonsekwentnie przeprowadzonych. Treściowo, bo główny problem (zerwanie Kocika z klasą i postawą bogaczy wiejskich, jego powrót do spółdzielni produkcyjnej) jest przedstawiony w sposób dość mętny, nieprzekonujący. Wytknęła dalej referentka autorowi „Pożaru” niesmaczną manierę mówienia nieco pogeradliwym tonem o ludziach wiejskich, o ludziach Rębielewa... W sumie jednakże kol. Meissnerówna oceniła książkę Kuśmierka zdecydowanie dodatnio: pobudza ona czytelnika do myślenia, napawa go troską o sprawę człowieka, demaskuje krzywdę społeczną jakże głęboko nieraz ukrytą pod pozorami legalności i ładu.

Dyskusja, w której zabierali głos kol. kol.: W. Chylińska, Z. Czajkowska, E. Kobylńska, Z. Lewartowska, I. Przewłocka, J. Skoszkiewicz i niżej podpisany, zahaczyła zaraz na wstępie o sprawę często absorbującą dyskutantów przy omawianiu tego typu utworów: czy to nowela, czy reportaż? Nie zatrzymując się dłużej przy tym problemie (zgodzono się na ogół na tezę, że to pogranicze noweli i reportażu, rodzaj szkiców powieściowych) zreferujemy ważniejsze głosy. Do nich należał przede wszystkim zarzut: Kuśmierk obnaża trudności i błędy

towarzyszące narodzinom nowego utworu, ale czyni to w sposób cząstkowy, wycinkowy nie docierając do całości mechanizmu społeczno-politycznego — a przez to deformuje rzeczywistość in minus. Na to z kolei odpowiedziano: trudno mówić o deformacji w książce, która jest tak mocno ideowo osadzona po stronie budującego się sojuszizmu, natomiast przez swój krytyczny, demaskatorski stosunek do konkretnych, ujemnych zjawisk dnia dzisiejszego dzieło Kuśmierka nader korzystnie odbija się od niektórych współczesnych powieści tchnących... bezkrytycznym realizmem.

Nawiązując do wyraźnej przewagi artystycznej, jaką mają dwie pierwsze nowele (czy raczej reportaże) nad ostatnią, poruszone w dyskusji ciekawy problem: oto raz jeszcze potwierdza się znamieny fakt, iż bohaterowie negatywni są z reguły plastyczniej i wierniej oddzwierciedleni niż bohaterowie pozytywni. Te utwory Kuśmierka, w których demaskuje on zło społeczne samo w sobie i ludzi temu złu służących, górują bezapelacyjnie swoim artystyzmem nad „Pożarem” i jego, w zamierzeniu autora, pozytywnym bohaterem; jedynie opis... pożaru wioski jest tu prawdziwym dziełem sztuki. Przypominają się słowa Iwaszkiewicza, który parę lat temu zapytany na swoim wieczornym autorskim w Sopocie, dlaczego w jego utworach typy negatywne są o wiele mocniej i wyraźniej zarysowane od postaci pozytywnych, odpowiedział: bo łatwiej się pisze o złu aniżeli o dobru...

„Pokolenie” Bohdana Czeszki dotarło do nas, na Wybrzeże, z aureolą sławy, jaka zdażyła już odczyć tę książkę wydaną przez „Czytelnika”. Z aureolą sławy poczętej w recenzjach nie były jakichś piór, w recenzjach zgola entuzjastycznych. Posłuchajmy tedy, co mieli do powiedzenia o „Pokoleniu” literaci gdańscy. Omawiając książkę

młody poeta, Janusz Skoszkiewicz, który położył szczególny nacisk na żarliwość powieści, jako jej signum specificum: żarliwość w mówieniu o sprawach i ludziach. Autor, jak mało który ze współczesnych pisarzy, umie przekonywać czytelnika do tego, co czynią i mówią bohaterzy powieści, którzy są jak najbardziej ludzcy, żywi i prawdziwi. Dostrzeganie zdarzeń historycznych u ich źródła, trafna ocena polityczna, umiejętne ukazywanie typowości — oto zasadnicze zalety książki urzekającej przy tym prozą, niezwykłą w swojej rytmice i plastyce. Nie same jednak aktywa składają się na powieść Czeszki. Konstrukcja książki jest istną puszcza, w której krzewi się całe mnóstwo wątków i postaci, nie zawsze dających się zapamiętać; treść powieści rozsada jej formę, czytelnikowi trudno się skoncentrować nad jakimś wątkiem, czy postacią.

Z głosów, jakie padły w dyskusji, na uwagę zasługuje wypowiedź Eugenii Kobylńskiej, która na każde posiedzenie sekcji twórczej — niech mi wolno będzie to podkreślić — przygotowuje się z podziwu godną sumiennością, stale wyglądając koreferat.

Kobylńska dokonała ciekawego eksperymentu: dała „Pokolenie” do przeczytania pewnemu majstrowi budowlanemu, którego systematycznie zaopatruje w lekturę badając potem jego opinie. Majster powiedział tyle: „książka akuratna, tylko nie na mój rozum, strasznie to górnio napisane, ludzie mi się poplątali, czemuś czasem tylko bębniecie w głowie...” (ten sam majster przeczytał z wielkim zainteresowaniem i przyjemnością powieść Franciszka Fenikowskiego pt. „Zakręt pięciu gwizdków”) Czeszko — zdaniem Kobylńskiej — zdobywa się na prostotę, ale wtórna, dla tych mianowicie, którzy się na niej poznają, dla znawców literatury. Do przeciętnego czytelnika książka nie trafi, za wiele w niej chaotyczności i fragmentaryczności, za wiele wątków i szczegółów nie dających się strawić przez prostego konsumenta literatury. „Pokolenie” można czytać na wrywki i zawsze jest zajmujące, ale też nie czeka się dalszego ciągu, można się bez niego obejść... Nawiązując do żarliwości ideowej książki tak silnie zaakcentowanej w recenzji Kotta w „Nowej Kulturze” („jedna z najpiękniejszych recenzji, jakie czytałam po wojnie”), stwierdziła koreferentka, że ta żarliwość z pewnością przemówi i do ludzi spoza obozu marksistowskiego.

W dalszym ciągu dyskusji padły głosy zwracające uwagę na skłonność Czeszki do pewnej obcesowości stylistycznej, do pewnej szarzy graniczącej już czasami z niesmakiem. Przykład na str. 51: „Rozpoczęły się odwieczny ciotek, które zeszły się pośród kanap krytycznych pokrowcami, pośród konsolk i patarafek. Proponowały leki niezawodne, bo domowej produkcji. Wiodły konsylia będące stekiem idiotyzmów. Dosiadały twardo krzesła. Tkwiły w zapiętych pod szyję sukniach, które niby sarkofagi pokrywały ich potworne ciała”. Kiedy Czeszko sam się postarzeje, będzie zapewne inaczej trochę pisał o ludzkich ciałach... Trzeba jednak przyznać, że tego rodzaju lapsusy występują w książce zbyt rzadko, by mogły one w poważniejszym stopniu zaszkodzić jej nieprzeciętnym wartościom artystycznym i moralnym. Wartościom, które wysuwają „Pokolenie” do rzędu czołowych wydarzeń literackich w kraju.

Na pograniczu fikcji literackiej i mistycznej wizji

W ŚRÓD niemieckich pisarzy katolickich, obok cieszącego się coraz większym wzięciem Stefana Andersa, poważne stanowisko zajmuje autorka, którą krytyka ocenia bardzo wysoko — Elisabeth Langgässer.

Najciekawszą jej powieścią jest „Nieusuwana Pieczęć” („Das unauflöschliche Siegel”).

Treścią powieści, która zdaniem niektórych krytyków ma trochę zaćmienia manicheistycznego, jest walka jaka toczy Bóg i Szatan o duszę Łazarza Belfontaine. Belfontaine, Żyd z pochodzenia, odrzucił mozaizm by czerpić się z katolicyzmu, cnotliwą i bogatą. Czy chodziło mu o pieniądze? Nie. Belfontaine tęskni za „ślepa wiara” i żywi paskalowską prawdziwie nadzieję, że uwiery, gdy w pragnieniu wiary ochrzci się. Tak się jednak nie stało. Wiara nie pojawiła się. Lecz mimo to na czołowieku pozostała nieusuwalna pieczęć Łaski.

Dalsza akcja powieści toczy się częściowo we Francji, częściowo w Niemczech. Belfontaine przeżywa pokusy, które przychodzą do niego pod postacią ludzi, lecz doznaje także pociech. Przynoszą mu je trzy osoby, które występują w powieści i wysuwają się w niej na plan pierwszy: św. Bernadetta Soubirous, św. Teresa Martin i św. Józef Benedykt Labre.

Bernadetta uczy Łazarza, że Łaska potrafi również dotknąć ludzi tak bardzo prostych jak ona. Bernadetta jest przede wszystkim przedstawicielką „ślepej wiary”. Po kazuje ona Belfontaine'owi cudownie uleczono ślepcę, który prosi Najświętszą Pannę o przywrócenie mu ślepoty, dzięki niej bowiem zachował zdola wewnętrzny wzrok duszy.

W innym miejscu powieści św. Teresa z Lisieux prowadzi zawziętą dyskusję z szatanem. Jest to jedna z najmocniejszych scen. Szatan stara się zasugerować jej twierdzenie, że zło i dobro nie różnią się niczym. Ale Teresa odpowiada, że nie zbudowała swego życia na Odwiecznej Mądrości lecz na Odwiecznej Miłości, bo tylko Miłość jest ratunkiem człowieka przed Trybunałem Bożym. „Wierze w niebo — mówi święta — chociaż ta wiara nie jest dla mnie żadną pociechą ani też nie jest dość przekonująca... Gdyby moje życie nie było niczym innym jak tylko umieraniem bez końca dla dobra innych dusz, ta agonizacja, niesfety, ta śmierć (choć by to była śmierć z miłości zakończona śmiercią cielesną) miała by przecież swoje granice. Żaden człowiek nie zdoła swa skończoną śmiercią zwyciężyć te druga śmierć, śmierć nieskonńczoną, śmierć w grzechu — piekło. Gdyż Bóg w swej miłości chciał także piekła z miłości — uczynił je niezlebiającą ocalałymi wieczności...” (Nie zapominał o pisze św. Tomasz: „Wielkość kary oceniona być może z dwóch stanowisk: ze względu na wartość dobra, którego ktoś został pozbawiony, odebranie mu wizji Bożej stanowi karę najcięższą; z drugiej jednak strony, ze względu na łaskę ukarania kara jest tym cięższa im bardziej pozbawia tę łaskę wiściwego jej, naturalnego dobra... Otóż, z tego punktu widzenia kara pozbawienia wizji Bożej jest karą najcięższą ze wszystkich kar ponieważ wiara Boża jest darem całkowitej nadnaturalny” — De Malo, 5, 1 3).

W ujęciu E. Langgässer św. Teresa — podobnie jak u van der Meerscha — nie jest cukierkowa święta, która, heilige, jak mówią Niemcy, autorka pokazuje nam świętą dotkniętą przez niewien czas przerażającym doświadczeniem — oświecała w wierze, wzdychającą do śmierci jako do stanu pewności.

Ogromna, licząca ponad 500 stron powieść E. Langgässer jest niewątpliwie nieco „przegadana”. W niej także odnajdujemy te nie dające się usunąć z żadnej współczesnej katolickiej powieści wpływy Bernanosa: ks. Mateusz przypominając proboszcza z Ambricourt sam Belfontaine — Ouine'a, Hor tensja de Chamant — bohaterka „Un mauvais rêve”. Dziś po pięć latach od chwili śmierci autor „Pamiętnika wiejskiego proboszcza” widzimy z całą wyrazistością jaką przełomowa dla literatury katolickiej chwila stało się pojawienie powieści Bernanosa.

Pomimo swoich wad, pewne mroczności i niezręcznie zbudowanego dialogu „Das unauflöschliche Siegel” jest utworem głębokim, sięgającym w samo sedno mistyki katolickiej.

M. D. Dobrzyńska

Leszek PROROK

„Pokolenie” w ogniu krytyki

DYSKUSJA nad „Pokoleniem” Bohdana Czeszki na plenum poznańskiej Sekcji Prozy w dni 7. III. br. dorzuciła nowe ciekawe momenty analizy do wzrastającego ostatnio recenzentkiego pokiośia powieści. Udział w naradzie Wojciecha Żukrowskiego, inicjatora wcześniejszej warszawskiej dyskusji, oraz jego referat wstępny skłoniły do przypomnienia przebiegu posiedzenia sekcji Prozy i zestawienia z jej dorobkiem poznańskich wyników obrad.

Debiut literacki Czeszki, „Początek edukacji”, pozwala spojrzeć na pierwszą powieść tego autora, jako na pewną kontynuację cyklu nowelistycznego opartego o obfity materiał wspomnieniowy. Cykl migawek, nieraz o wyraznej autonomii artystycznej, spowodował częste w dotychczasowych ocenach zarzuty pod adresem postrzeżonej i nieporządkowanej kompozycji „Pokolenia”.

Zasada organizowania materiału pisarskiego nie została jednak wyraźnie określona. Jest to zasada notatnika lirycznego. W utworze istnieje co prawda obszerna warstwa realistyczna, która ogarnia przede wszystkim fabryczkę braci Berg i jej środowisko. Warstwa ta pozwala oczekiwać od autora w przyszłości ciekawych osiągnięć epickich. „Pokolenie” prezentuje wielkie możliwości warsztatu pisarskiego. Brak jednak umiejętności konstruowania i łączenia motywów w spójne całości. Każde do przestrzeni autora przed kontynuacją podobnych lirycznych wylewów w pracy twórczej.

Zasadnienie konstrukcji wiąże się silnie z plastyką portretów ludzkich Człowiek u Czeszki staje się najbardziej wyrazisty tam, gdzie

autor potrafi zdobyć się na epiczny obiektywizm spojrzenia. Taki jest we wstępnej scenie obraz Stacha, ciągnącego po wyboistej ulicy wózek farbiarni. Tam, gdzie z bohaterami zaznajamiamy nas liryczna relacja współczesnika przezyca, kontury sylwetek ludzkich zaciera się.

Uwagi krytyczne, dotyczące konstrukcyjnej strony utworu nie przeszkodziły w analizie walorów prozy Czeszki i społeczno-politycznej wymowie jego dzieła.

Uczestnicy poznańskiej narady polemizowali niejednokrotnie z zarzutami, podniesionymi w toku warszawskiej dyskusji, m. in. z zarzutem jednoznaczności rysunku miedych postaci. Niewątpliwie w „Pokoleniu” przedstawiciele starszej generacji są znacznie bardziej różnicowani. Pamiętać jednak należy, że młodość jest na ogół bardziej zbieżna niż starość. Bieg życia indywidualizuje ludzi i uwydatnia różnice między nimi. Nadto los wojenny stawał przed młodzieżą skądś ilość wariantów sytuacji życiowej — obóz, roboty w rzeszy, konspiracja, degeneracja, ucieczka (dosłowna lub w przenośni — ucieczka od rzeczywistości). Każdy z tych wariantów wyciskał na młodzieży pewne wspólne znamiona i stwarzał pole do podobnego zachowania się w analogicznych sytuacjach. Wychowawcza siła tych wariantów, tak w złym, jak w dobrym, unodobniała do siebie, mimo wszystkich indywidualnych różnic. Czeszko pokazał to zjawisko. Pokusił się nadto o próbe selekcji wspólnych znamion wiejskiej grupy młodzieży, zrodnie zreszta z syntetyczną zapowiedzią tytułu książki.

Interpretacja powyższa nie została przez wszystkich przyjęta. Zna-

leżli się oponenti, dostrzegający w niej przejaw biologizmu i szkodliwą mitologizację książki. Argumenty, że każde polskie pokolenie ostatecznie kilkudziesięciu lat miało niestety „swoją” wojnę, która je ukształtowała, nie wydają się jednak przekonujące. Istnieje pewna różnica między losem młodzieży w latach 1939 — 45 i w okresie I Wojny Światowej.

Podobnie na miano automatyzmu i ekspresjonizmu krytycznego zasłużyła analiza chaosu konstrukcyjnego jako swego rodzaju wielkiej metafory utworu, który poprzez nią w sumaryczny sposób odbija chaos lat wojny, nieustannie rwanie się wątków styczności osobistej itp. Oczywiście, że przy innej koncepcji konstrukcyjnej można by prawdę owych lat wyrazić środkami bardziej szarmonizowanymi.

W toku dyskusji podkreślona została rzadka umiejętność operowania skrótami myślowymi, a zwłaszcza charakterystycją człowieka przy pomocy skondensowanych rzutów kilku zdań, określających dominantę danego charakteru ludzkiego.

W podsumowaniu dyskusji W. Żukrowski wyraził przekonanie, że przyniosła ona pokaźny ładunek konkretnych, praktycznych uwag, które dla rozwoju pisarza przedstawią największą wartość. Uwagi te gość poznański prozaików o biegał przekazać nieobecnemu autorowi „Pokolenia”.

Dyskusja nad powieścią Czeszki miała charakter otwarty i poza poznańskim środowiskiem pisarskim zgromadziła przedstawicieli miejscowej polistyki, instytucji oświatowo-kulturalnych, młodzieży i prasy.

POWROTY I NAJAZDY

„Deutschland über alles“. Nie wiedział. Co oni w ogóle wiedzą? Ile my tu mamy pracy na tym wschodzie! Powiedziałem ojcu, że ci ludzie tutaj zachowują się jak nasi wrogowie. Właściwie poza Erwinem nie mam z kim gadać.

12. marca

Edyta jest dobrze zbudowana. Już ją znam. Szkoda, że jeszcze zima. Niczego się nie boję. Erwin też to stwierdza. Och, mam świetne zdanie z „Geist und Schönheit“: „Dzisiaj nakazem etyki jest pielęgnować kult nagości i siły“. Powtórzę to Edycie i tej rudej Helence. Hildegarda powiedziała, że muszę się z tego spowiadać, że wszedłem do łazienki, gdy ona się kąpała. Czy wszyscy ludzie mądrzy mają tak głupie siostry!

13 marca

Halo, hali! Führer powiedział, że nadchodzi moment, że Rosja rozeleci się jak próchno! Och, marzę o tym, żebyśmy byli spadochroniarzem, który spadnie na Kreml.

14 marca

„Największym nieszczęściem dla Europy była rewolucja francuska, ponieważ wyzwoliła Żydów, którzy się rozleli po świecie jak robactwo“. To z Buehlera „Walka o Niemcy“. Zdanie znalazła mi mama. bo wie, że zbieram złote myśli. Wczorajem przyszła do mnie z tym zdaniem: „Tylko z poslewem krwi i walki może wyrósć dobro naszej ojczyzny“.

Fajna jest moja mama, dobrze mnie rozumie i żyje wszystkimi moimi sprawami.

Tak kształcił się Helmuth pod baczny okiem matki i ojca, którzy codziennie klękali przed krucyfiksem i odmawiali najspokojniej modlitwy chrześcijan.

Od czasu wizyty u Edwardów minęło kilka miesięcy. Zagłębiwszy się po uszy w swoich codziennych zajęciach, prawie że za-

(Dokończenie ze str. 7)

omniałem o problemie rodziny Bielów. Jednak w sposób zupełnie niespodziewany los kazał mi raz jeszcze wrócić do nich. Stało się to przez panią Kazimierę, która jak wiadomo jest entuzjastką dzieci. W jednym z tygodników ilustrowanych, wychodzących w Niemieckiej Republice Demokratycznej znalazła śliczne zdjęcie trojaczek. Podsunęła mi czasopismo. Obrazek przedstawiał troje niemowląt ułożonych na bielutkich poduszkach obok stojącej młodej matki, której pielęgniarka podawała telegram. Podpis pod zdjęciem brzmiał: „Wręczenie depeszy Przewodniczącego C.D.U. szczęśliwej matce trojaczek“. — Pani Hildegarda Knapa z Berlina urodziła trojaczki; jej mąż Rudolf Knapa jest przodownikiem pracy i racjonalizatorem, jest członkiem Chrześcijańskiej Demokratycznej Unii. Hildegarda Knapa jako działaczka niemieckiej Ligi Kobiet walczy o pokój i o zjednoczenie Niemiec. Przedstawicielce naszej redakcji oświadczyła, patrząc na swoje dzieci: „oby Bóg pozwolił, by te małeństwa nie zaznały wojny; współczuję mocno matkom koreańskim“

Hildegarda? Długo zastanawiałem się nad tym z kim kojarzy mi się to imię. Poza tym gdzieś widziałem rysy twarzy tej kobiety.

Bywają nieraz w życiu dziwne zderzenia się faktów lub ludzi. Czasem ktoś niespodziewanym zbiegiem okoliczności zaczyna się pojawiać w kręgu twoich spraw, zaczyna nas kogoś spotykać tam gdzie ty bywasz, albo w jakiś inny sposób ktoś wchodzi na ścieżki wydeptywane przez ciebie i to ktoś taki kim się zupełnie przypadkowo zajęła myśl lub spoczęło oko; przy tym nie przypuszcza się ani na chwilę, że można się wplątać w koło czyichś spraw. Bywa, że rodzą

się z tego albo przyjaźnie, albo nie nawiści. W każdym razie zaczyna ją się angażować uczucia tam, gdzie do tej pory była albo obojętność, albo zainteresowania jedynie doraźne. Tak właśnie było ze mną.

Owej nocy, kiedy u Edwardów wglądałem w papiery, demaskujące chore ognisko domowe, kiedy przemówił do mnie Helmuth Biel i gdy poprzez niego ujrzałem w całej jaskrawości ogrom zagadnień moralnych i politycznych, jakie stoją przed ludźmi odpowiedzialnymi za losy narodu niemieckiego i Europy, nie wiedziałem, że z tego wyniknie... przyjaźń z racjonalizatorem ze wschodniego Berlina Rudolfem Knapem oraz szczęśliwą matką trojaczek Hildegardą Knapa, siostrą Helmutha Biela.

Stało się tak: Do fabryki gdzie pracuję, przyjechała właśnie wycieczka racjonalizatorów niemieckich z NRD, w której uczestniczył Rudolf Knapa. Powiedział w rozmowie ze mną, że zna trochę Śląsk z opowiadań żony, która tu mieszkała w czasie wojny. Chciała nawet jechać ze mną, ale urodziła trojaczki przed dwoma miesiącami!

— Czy Waszej żonie na imię Hildegarda?

— Oczywiście dogadaliśmy się łatwo.

Hildegarda poczęła się źle czuć w środowisku brata i matki od momentu zakończenia wojny, zaś szerzej zaczęły się jej otwierać oczy, gdy zetknęła się ze swym przysłym mężem.

— Dziś jest taka sytuacja, że niech pan sobie wyobrazi — jej matka nawet nie przyjechała do nas w okresie porodu Hildegardy. Widzi pan, Helmuth nie pozwala. Bo teściowa — tu machnął ręką — umie, pan wie, pan ją zna z ich papierów, umie wiele rzeczy gościć bez najmniejszego kłopotu: swoją praktykę religijną z pogąbskimi poglądami, szczęście swej ojczyzny z nieszczęściem innych krajów, oszczędną zapobiegliwość z zachłannością na cudze, więc ona by może przyjechała do nas, lecz Helmuth! On dzisiaj wywiera wpływ na nią, jak kiedyś przyjmował jej wpływ. Mam przy sobie list teściowej do Hildy. Nie, proszę nie protestować, nawet chciałbym bardzo ażeby pan przeczytał. Jest tam wzmianka o owej wysłanej przez pańskich przyjaciół przesyłce.

Józefina Biel pisała do Hildegardy: „...Helmuth się dziwi i przeklina na przemian. Cóрко, w kogo Ty się wdałaś, skąd się to u Ciebie wzięło? Przecież Ty i Twój Rudi blamujecie nas i hańbicie pamięć ojca, który poległ bohatercko fur Volk u Führer. Czy Rudolf myśli, że jego CDU może być katolicką partią, skoro rozwija działalność za pokojem i skoro istnieje w Waszej NRD? Nie przyjadę do Ciebie ponieważ się wyglupiasz i to publicznie, moja Hildo, nie masz czoła. Pytasz co się jeszcze znajdowało w paczce, którą Helmuth otrzymał z naszego mieszkania w Bail donnhütte? — Nic dla Ciebie w każdym razie. Bezczelny Polak. Helmuth się już uspokoił. Mówi, że mogli się nie trudzić, sam by sobie to odebrał niedługo...“

Zwróciłem list Knapemu kłaniając głową ze zdumienia. Nie powiedział słowa, tylko się uśmiechnął znacząco i podał mi przyjacielską rękę.

Z okna pociągu wychylił się i rzucił: Helmuth chciał jechać żelaznym torem z zachodu na wschód, a ja już jadę żelaznym torem ze wschodu na zachód, wywożąc od was braterstwo. Przewrócił by się, gdyby się chciał ze mną zderzyć w tej podróży.

J. D. — H.

Zbyszko Bednorz

Mieszkańcy nieszczęśliwej wsi

„...Przeglądając księgę mego życia, — pisze F. Gładkow *) — odczuwam zakłopotanie i zastanawiam się, czy trzeba opowiadać o tych dawno minionych dniach, czy należy odtwarzać te przekleństwa tortury, przez które przechodziło moje dzieciństwo, a potem młodość: przecież wszystko to minęło i uległo zapomnieniu — na zawsze.“

Lecz głos sumienia i obowiązku nakazuje mi uporczywie: powinienes opowiedzieć, musisz pokazać tę męczącą dżunglę, przez którą trzeba było przedzierać się ludziom mego pokolenia i pokonywać ją, by wyjść z diabelskiego mroku na wolną drogę teraźniejszości“.

Tu trzeba dodać, że owym „głosem sumienia i obowiązku“ był Maksym Gorki, który gorąco i kategorycznie namawiał Gładkova do napisania książki, opartej na wspomnieniach z lat dziecińczych, „Nie trzeba zamykać oczu na zjawiska odstręczające i ciężkie — a tego w przeszłości było wiele, to było nieuniknione — mówił Gorki — trzeba jednak podkreślić zjawiska dodatnie, afirmujące życie, i jaskrawo je naświetlić“.

Dzieciństwo Fiodora Gładkova, autora znanego i popularnego „Cementu“ — opisane przez niego we wstrząsającej swym realizmem „Opowieści o dzieciństwie“ — kształtowało się podobnie jak i analogiczny okres w życiu Maksyma Gorkiego. Od najwcześniejszych lat zaznali krzywdy, niesprawiedliwości i bólu, od najwcześniejszych lat musieli pracować ciężko, ponad siły, a żaden z nich nie przeżywał bez troski okresu dziecięcego. Obaj pisarze odzwierciedlili ten okres w swych utworach. Znamy dobrze „Dzieciństwo“ Gorkiego. Zajrzyjmy do „Opowieści o dzieciństwie“ Gładkova. Opowiada nam on o życiu rodziny chłopskiej za panowania Aleksandra III, wkrótce po zniesieniu pańszczyzny. Więcej tu — że użyję określenia Gorkiego — „zjawisk odstręczających i ciężkich“ niż „dodatnich i afirmujących życie“. Zniesienie pańszczyzny nie przyniosło polepszenia w życiu chłopów, którzy dla odmiany popadli teraz w zależność miejscowych urzędników, policji, a przede wszystkim najbogatszego we wsi chłopca.

W rodzinnej wsi Fiedki Gładkova takim bogaczem był Mitrj Stodniew, którego powagę znakomicie zwiększał fakt, iż sprawował on jednocześnie funkcję duchownego, wzmacniając się w miarę potrzeby autorytetem boskim. W gruncie rzeczy Stodniew był człowiekiem niegodziwym, dręczył i wyzyskiwał chłopów, a niewielu było śmiazków, którzy by mu tę prawdę w oczy powiedzieli. Przy swoich stosunkach z władzą Mitrj Stodniew likwidował szybko oponentów, którzy niczym nie zawiniwszy wędrowali na katorgę.

W rezultacie — jak pisze Gładkow — „prawie powszechny analfabetyzm, ciemna władza cerkwi, „domostrojewszczyzna“ (zacołane prawa społeczne i rodzinne, pozostałe jeszcze z czasów Iwana Groźnego), wieczna walka o kawałek chleba, solidarna odpowiedzialność za dług, rozgrabianie gospodarki chłopskiej — wszystko to wywoływało gniew chłopca — doprowadzało go do rozpaczy. Chłop działał, mijał się jak zaszczuty, nie znajdując sobie miejsca, odbijał swe krzywdy na żonie, na dzieciach, na sąsiadach, na sobie samym“.

Takim właśnie chłopem „miotającym się i dziczącym“ był dziadek Fiedki. Był to chłop ciemny i zacołany, który całe życie sterał na pańszczyźnie, teraz sprawował nad swą

liczną rodziną władzę iście absolutystyczno-patryarchalną. Bił żonę, dzieci, znęcał się nad synową i wnukiem. Zmuszał wszystkich do bezwzględного posłuszeństwa i niemal oddawania sobie czci należnej Bogu — jako że władza ojcowska od boskiej się wywodzi. W takich to warunkach domowego terroru wzrastał mały Fiedka, z przerażeniem obserwując, jak jego matka i ojciec drżeli przed dziadkowym knutem. On sam, Fiedka, obrywał nie tylko od dziadka ale i od ojca, który już przygotowywał się do roli tyrana domowego. Obrywał zresztą i od obcych, a mało było ludzi, którzy by mieli dla niego dobre słowo, cieplejsze spojrzenie czy serdeczny uścisk. Nawet matki nie można było do nich zaliczyć, bała się własnego cienia, a cóż dopiero wyrażenia swych uczuć wobec dziecka.

Ze zgrozą opowiada autor wspomnień o chłopie Kalaganowie, znanym we wsi ze swej siły, który doprowadzony do ostateczności wyzyskiem wyżej już wspomnianego Mitrja Stodniewa, zatłukł na śmierć swoją żonę, Bogu ducha winną i pracowitą Agafię. Nawet nie zdawał sobie sprawy, z tego co czyni. Było to już szaleństwo na tle nędzy i niesprawiedliwości.

Bystry umysł dziecka rejestrował te wszystkie wydarzenia. Fiedka szukał ludzi, z którymi mógłby podzielić się swymi spostrzeżeniami, dowiedzieć się, skąd jest tyle zła w jego wiosce, dlaczego dzieje się krzywda ludziom, którzy w niczym nie zawiniłi... Jego rówieśnicy, a przede wszystkim energiczny i pomysłowy mały Kuziar — przyjaciel Fiedki — na swój sposób reagowali na wszelkie przejawy życia wsi, płatali figle, zwłaszcza tym, których ogół wsi nie lubił. Ale oprócz rówieśników był tam jeszcze inni ludzie, którzy mieli wielki wpływ na kształtowanie się psychiki małego Fiedki.

„W mej nieszczęśliwej wsi mieszkali ludzie o czułym sumieniu i niespokojnej myśli — poszukiwacze prawdy, opozycjoniści, buntownicy. Wśród nich byli marzyciele, śmieciarze, oskarżyciele. W młodości swej spotykałem wielu dobrych ludzi, z którymi żyłem wspólnym życiem i którzy dotychczas są mi bliscy jako pierwsi przyjaciele. Byli to Rosjanie, którzy nie poddali się przemocy, którzy posiadali dar widzenia światła wśród mroku i przeżywali radość przyszłości“. A więc byli tam m.in. kobiety, które umiały nakazać dla siebie szacunek, nie bojąc się rodzinnego terroru, jak babka Natalia, władca i zuchwała chłopka Parusza, młodzianka ciotka Fiedki — Katia, która wręcz śmiała się z gróźb i przekleństw swego ojca i postanowiła sama o swej przyszłości zdecydować. Pelen ewangelicznej dobroci i miłości bliźniego był ślepiec Łukonia, który spieszył z pomocą wszystkim maltretowanym, nie bacząc na raży, jakie mu się przy tej okazji dostawały. Wreszcie jedną z najciekawszych postaci „poszukiwacza prawdy i opozycjoniisty“ był wędrowny krakwiec Wołodimiryucz, uczestnik wojny tureckiej, człek w świecie bywały i na swój sposób wykształcony, co szczególnie odbijało się na tle powszechnego we wsi zacołania i analfabetyzmu. Jego barwne opowiadania o żołnierskich przeżyciach, książki, które dawał Fiedki niewątpliwie decydująco zaważyły na rozwoju umysłowym pojętego chłopca.

Książka Gładkova — o ponurych dziejach wsi rosyjskich, stanowiąca sui generis dokument „życia za cara“ — została starannie (z użyciem niezbednych nieraz wyjaśnień) przetłumaczona przez Helenę Szaniawską-Mankiewiczową.

G. K.

*) F. Gładkow — Opowieść o dzieciństwie. Tłum. H. Szaniawska — Mankiewiczowa. Sp. Wyd. — Ośw. „Czytelnik“ Kraków. 1951, str. 427.

PRANIE CHOĆ MAŁE ALE BEZ PARDONU

DWA pozornie różne co do swej zawartości tomiki „Biblioteki Szpilek“ łączy jedna wspólna cecha: postawiły one sobie za zadanie zdyskredytowanie w oczach polskiego czytelnika stosunków i stylu życia panujących poza tzw. „żelazną kurtyną“.

Środki jakimi operują autorzy są naturalnie różne. Komentarz dziennikarski na marginesie zdajeń, stara się przemówić nie tylko do umysłu, ale i uczuć czytelnika, posługując się do tego celu prymitywną poezją. Czystego typu poezję dziennikarską, poezję-komentarz reprezentuje właśnie Antoni Marianowicz. Walczy on z wieloletnim wiązaniem satyry jedynie z komizmem i stawianiem ośmieszenia przeciwnika jako jej wyłącznego celu. W satyrach Marianowicza skala uczuć waha się od gniewu i odrazy po uśmiech — brak tu tylko pobłażania.

Przeciwnie stanowisko reprezentuje Brudziński, który swe tezy obleka w żart, anegdotę i groteskę, a może nawet żart i anegdotę ubiera w tezy polityczne. Czerpie on pełną garścią ze składnicy kawałów i powiedzonek, które z pewnością opowiadano już sobie, gdy autor był po prostu „odrobina hałasu owinięta w pieluszkę“. Opowiadania jego są śmieszne, ale nie przekonywające, jak obraz stuletniego członka parlamentu Mr. A. T. Newsoopera, który podany kuracji Woronowa, po przeszczerpieniu małych gruczołów czule się dobrze, większość chwil spędzając na świeczniku zawieszonym u sufitu sali obrad.

Przeciwnie się ma z Marianowiczem, którego wiersze są przekonujące, ale nie śmieszne i suche.

Moim zdaniem błąd leży u obu autorów w tym, że czerpią oni ma-

teriał nie wprost z życia krajów, które chcą potępić (jak to obecnie robi z powodzeniem Georg Bidwell), ale za pośrednictwem polskiej prasy, która z konieczności wybiera zjawisko bardzo typowe i ważne, nie zawsze dające się przekuć w kształt artystyczny i często narzucające artyście to co nazywamy schematyzmem.

Tu znów kończą się analogie między pisarstwem Brudzińskiego i Marianowicza. Autorowi „Małego prania“ materiał ten nie wystarczy, wobec tego ozdabia go pomysłami rodem z „Encyklopedii humoru“, natomiast „Bez pardonu“ stara się nadać samemu zjawiskom jakąś formę artystyczną nie zmieniając ich istoty. Pierwsze stanowisko prowadzi do utopienia problemu w ciekawych naddatkach, drugie do stworzenia utworu nudnego, nie mówiącego wiele ponad to co wiemy z gazet. Znajdujemy też u Brudzińskiego humoreski o tematyce polskiej, do których autor czerpał materiał z życia, są one nie mniej śmieszne, a o głowę bardziej przekonujące. Widać, że autor sam zetknął się z takimi zjawiskami, jak zarozumiały przybysz z zagranicy, odbudowa stolicy, biurokracja, praca dziennikarska itp. Marianowicz i w tej tematyce nadal posługuje się gazetą, streszcza korespondencje z „Trybuny Ludu“ i wtóruje ogólnej akcji przeciw dżolerom. Może jedynie wiersze o pisarzu tworzącym w kawie poza życiem — noszą ślady autopsji. Antoni Marianowicz w założonej koncepcji ma bezwzględnie duże osiągnięcia. Dobre też są przekłady poetów niemieckich dołączone do tomiku. Przeciwny czytelnik jednak będzie wolał sięgnąć do humoresk beztrojsko błądnącego Brudzińskiego.

Andrzej ODNOWA

Balzak na scenie warszawskiej

EUGENIA GRANDET, jeden z wcześniejszych utworów Balzaka (z r. 1832) jest w zasadzie jednym z najbardziej czystych etycznie, najmniej zarażonych fascynacją zła. W cieniu potwornej postaci chciwca i skąpca, starego Grandeta, na tle prowincjonalnego środowiska bogacącego się i przeżartego żądzą pie-



Państwowy Teatr Współczesny w W-wie. Aleksander Bardini w roli starego Grandeta.
Fot. COPA

niądza mieszczaństwa, rozgrywa się tu dramat, który w kategorii pojęć młodego autora można by określić jako konflikt dwóch postaw: uduchowionej, chrześcijańskiej i oddanej „światu” — to sam Balzak używa kilkakrotnie w swej powieści tego staromodnego, fideistycznego określenia: „mondain”, „światowy”. Złowrogi wpływ pojęć zmaterializowanego świata kapitalistycznego sprawia, że młoda, czysta miłość, wytrwała wierność uczuciu szlachetne poświęcenie Eugenii pogrzebane zostają dla mirażu kariery młodego mieszczańskiego arystywy, dla jego rojeń o bogactwie, salonach i tytułach. Lecz w końcowej wymianie listów między Karolem i Eugenią dokonuje się poniżenie zła, przewyższenie tragizmu przez gest najwyższej szlachetności. Kontrastu dwóch postaw nie można było zarysować z większą ostrością. Z zakończenia tej wyjątkowej książki Balzak wieje przejmujący smutek, smutek nie tylko z przekreślenia szczęścia, lecz większy bodaj jeszcze — z duchowej śmierci człowieka. Wydaje się, jakby to o sobie samym pisał Balzak, o czystych marzeniach własnej młodości i rozczarowaniach wieku dojrzałego, zmrożeniu duchem świata.

„Eugenia Grandet” zawiera wielkie bogactwo charakterystyki obyczajowo-społecznej, posiada ostre akcenty demaskatorskie, a przy wszystkim nie jest pozbawiona ani charakterów w jakimś sensie pozytywnych, ani moralnej wzniosłości. A jednak nawet i w tym dziele głębsza analiza postaci dodatniej odkryje wiele może prawdy krytycznej, lecz znikomo mało optymizmu, postępowości, wybiegania w przyszłość.

Postacie pozytywne „Eugenie Grandet” inspiruje niewątpliwie chrześcijaństwo. Ale jakież to chrześcijaństwo! W defensywnym, kwietystycznym, pozbawione możliwości i chęci oddziaływania na świat. Jakież to znamienne, że postacie pozytywne powieści to same kobiety: stara Grandet, niewolnica męża, przywykła do posłuszeństwa i cierpienia; „Wielka Nanon”, naiwnie poczciwa, wierna sługa, choć z przebytkami ludowego rozsądku, typowa chrześcijańska z kruchty; wreszcie Eugenia, z charakterem niezłomnym po etarym skąpca, lecz dzieląca z matką większość przesądów o powołaniu kobiety. Oto galeria postaci pozytywnych, o ilez błędnych od pełnych plastyki postaci ujemnych. Jakże to mało wzorowa galeria. Jest prawdziwa, jest to rzeczywiście pokolenie katolickie z czasów Chateaubrianda czy De Bonalda, tradycjonalistyczne i konserwatywne, może boćące się na kapitalizm, ale raczej z sentymentu dla feudalizmu, niż dostrzegając niemoralność władztwa pieniądza lub domwślajac się możliwości jego obalenia. Nie, nie są to idealni bohaterzy! Nie dziwnego, że przy całej szlachetności Eugenii, rezygnacja jest ich główną cechą.

Powieść nabiera w zakończeniu cech melodramatycznych, a styl popada w osobliwą nieszczerłość, w manierę przesłodzonego sentymentalizmu cnoty i religii. Widać od razu, że nie jest to właściwa domena pisarstwa Balzaka: partie optymistyczne utworu Balzaka brzmią jak piękna, lecz nieprawdziwa bajka.

Jeszcze trudniej niż chrześcijaninowi byłoby chyba marksistom odnaleźć w „Eugenie Grandet” pożądany typ optymizmu. Któż tu jest człowiekiem przyszłości, któż tu wyczuwa nurt postępu? Te kobiety, potraktowane raczej zdawkowo i sentymentalnie, bezsilne, zepchnięte na margines życia? Słowa J. Siekierskiej z programu o „galerii pięknych postaci ludzkich”, o „wrażeniu wiary w człowieka” nie przekonują nawet na tle doskonałej w przedstawieniu gry postaci kobiecych. Lecz przejrzmy już do adaptacji i kształtu scenicznego „Eugenie Grandet”.

Inscenizacja warszawska dążyła do wierności, do tego, aby zbliżyć przedstawienie z powrotem do powieści. W skutku odeszła jednak nie tylko od bardzo interesującej przeróbki Arraulta — Wermera, ale, co gorsza, od zdecydowanego wyrazu dramatycznego.

Zakończenie powieści było chwytliwe i kompromisowe. Rzucano się w oczy, że Balzaka kusily dwa rozwiązania. Pierwsze, krytyczne, wymagało, aby w Eugenii pod wpływem tragedii miłosnej wzmożyły się cechy starego skąpca, aby przeszła na placzkę „świata”, władztwa pieniądza, i z niej ruciła życiową wyzwanie. W tym kierunku, szczerze bałkowskim, choć nie miało tylko znaczący wpływ przez pisarza, posłała przeróbka Wermera i inscenizacja gdańska Z. Karczewskiego w Teatrze „Wybrzeże”. Słowa Eugenii: „Teraz jestem silna” przynosiły tam zdecydowany zwrot dramatyczny, pointę przekorną, mściwą, lecz wysoce prawdopodobną życiowo, społecznie i... wyraźną sceniczną. Lecz Balzaka kusilo też drugie rozwiązanie, na pół, jak widzieliśmy, wzniosłe, chrześcijańskie (zapanowanie nad złem wspaniałomyślnością), a bardziej jeszcze sentymentalne, melodramatyczne. Powieściopisarz nie zdecydował się na żadne wyraźne

rozwiązanie, zarysował możliwości obu, roztopił losy Eugenii w tajemniczości domysłów.

Wbrew odrębnym wymogom teatru inscenizacja warszawska Bronisława Dąbrowskiego poszła dość niewolniczo za powieścią, ze szkodą dla przejrzystości i zwięzłości dramatycznej. O ile przeróbka Wermera odznaczała się doskonałą na ogół selekcją partii dialogowych, trafnym wypunktowaniem konfliktów i momentów zwrotnych akcji, szlachetną symetrią budowy całości, dodatki, jakie pojawiły się w przedstawieniu Teatru Kameralnego nie wzmocniły na ogół kośćca, ani ścięgien utworu, nie potęgowały wyrazności jego wymowy scenicznej. Tu i ówdzie bardziej uprawdopodobniały tok wydarzeń, na ogół przecież powiększały jedynie ilościowo twórczość sceniczną, raczej natomiast zmniejszały siłę tkwiącą w jego dotychczasowej kondensacji.

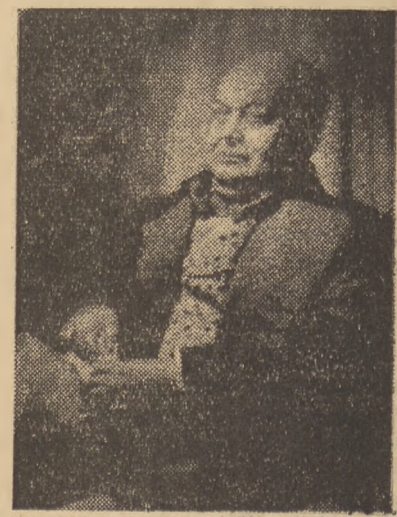
O ile np. u Wermera wbrew powieści Grandet umiera w ataku apopleksji, po gwałtownej scenie z Eugenią, Dąbrowski mnoży ilość starców i córek, aby w osobnym akcie odcelbrować typowo starczą śmierć Grandeta i „teatralną” scenę z krucyfiksem.

Błędy ujęcia dramaturgicznego i inscenizacji nie mogły nie odbić się na ogólnym wyglądzie przedstawienia. O ile o premierze gdańskiej mógł Patryk w „Słowie Powszechnym” (29.1.52) słusznie pisać jako o „przedstawieniu ambitnym, o świetnym tempie, jednorodnym i przejrzystym”, spektaklowi warszawskiemu należy — pomijając ambicję, wkład pracy i doskonały poziom wykonawczy ogółu grających — przypisać niemal odwrotność tego wszystkiego. O tempie zbyt powolnym przesądziła z góry wspomniana „faktura powieściowa” spektaklu. Mimo staranności roboty reżyserskiej i aktorskiej przedstawienie nie osiągnęło pełnej spójności i potoczności wewnętrznej rytmu.

Dotyczy to również roli starego Grandeta w interpretacji Aleksandra Bardini, roli niewątpliwie bogatej w geście, ruchu, mimice, ale o uderzającej przewadze ujęcia zewnętrznego (np. to gryzienie palców przez starego skąpca) nad ekspresją

wewnętrzną. W przeciwieństwie do trylowatej, groźnej maski Grandeta Z. Karczewskiego w Gdansk, który z dużą sugestywnością odtworzył jakby postać z rycin Daumiera, Bardini ukazał Grandeta — zwałistego grubasa, pozornie dobrodusznego, o mięsistej twarzy, recholowym śmiechu, ruchach niedźwiedzia a zarazem głosem gburawym i zaczepnym wobec najbliższych. Niedostateczna jeszcze dynamika wewnętrzna roli — oto może jedyny brak interpretacji Bardini, niebanalnej w pomysłach i bardzo starannie opracowanej.

Wielkim osiągnięciem aktorskim przedstawienia była kreacja Hanny Skarżanki w roli tytułowej. To, co nie w pełni powiodło się Bardiniemu, wytworzenie aureoli nastroju wokół swej roli, to w wysokim stopniu osiągnęła Skarżanka. Jej Eugenia była miłośnicą w wielkim stylu, o rzadko spotykanej głębi prze-



Państwowy Teatr Współczesny w W-wie. Feliks Chmurkowski w roli bankiera Des Grassins.
Fot. COPA

życia, przebijającej w mimice o szerokim wachlarzu odcieni, pięknie modulowanej dykcji, dużym opanowaniu ruchu i gestu. Dawno już nie

oglądaliśmy u nas scen takich, jak sceny miłosne z II i V aktu.

Partner Skarżanki Jan Świdorski, nie ukazywał ewolucji Karola od młodzieńczej próżności do zupełnego zabarcenia — sumienia; od pieczęszego wejścia przedstawił publiczności jako podejrzaną — sylwetkę zbłądanego bankierskiego synka. Odcień obłudy, np. przy odmowie przyjęcia pomocy Eugenii, rychło zdemaskowało aż zbyt łapczywa wzięcie się na złoto. Przy interesującym rysie dwuznaczności, cała rola Karola wypadła przecież jako zbyt jednolicie ciemna.

Środowisko burżuazji prowincjonalnej ukazano socyjście i barwnie. Powściągliwemu rajentowi Cruchot (T. Krotke) przeciwstawiono szeroką naturę pewnego siebie bankiera Des Grassins (F. Chmurkowski) — ohydny grał z niezawodną wytrawnością — pani Des Grassins (M. Zabczyńska) świetnie powtarzała w prowincjonalnym wydaniu paryską „wytorność” i „finezję” frywolnego dialogu w rozmowach z kanonikiem Cruchot (K. Pagowski), jedynie może De Bonfons (C. Kalinowski) wykraczał nieznacznie poza ścisły realizm w kierunku ujęcia satyrowo-farsowego. Bardzo dobra L. Panciewicz — Leszczyńska jako Nanon, również J. Gzlewski w niewdzięcznej roli pani Grandet wydobyla przekonująco nastroj tej zrezygowanej, cierpiętniczej egzystencji.

Nie bez wad w ujęciu inscenizacyjnym, pod względem gry aktorskiej przedstawienie miało poziom wysoki. Dekoracje Otta Axera trafnie połączyły wrażenie skrajnego skąpstwa z pozorami wyższego smaku, przejawiającego się w przedmiotach przyjętych wraz z domem przez noworwca.

Ukazanie na scenie stołecznej arcydzieła Balzaka jest poważnym wydarzeniem artystycznym. Twórcom teatralnym pomaga ono uświadomić coraz bardziej aktualny problem warsztatowy: wzajemnego stosunku praw powieści oraz dramatu i sceny. Przed publicznością odsłania się obraz społecznych konfliktów przewyższonej przeszłości, a na jej tle zawsze i tak samo nieokojące tainki ludzkich serc i dramaty ludzkich sumień.

Andrzej Odnowa

Ludzie z Neptuna

TYM nieco „marnistycznie” brniącym tytułem recenzji nie chciałbym wprowadzić w błąd moich czytelników. „Neptun” — to po prostu fabryka naczyń emaliowanych w jednym z miast węgierskich. A ludzie recte zaloga — „Neptuna” — to bohaterowie powieści Ivén Egrý*. Użyłem słowa powieści najwyraźniej zasugerowanego notką redakcyjną „Czytelnika”, głosząca, że „opublikowana w 1950 r. powieść pt. „Fabryka budzi się...” uzyskała nagrodę im. Józefa Atylli w konkursie Krajowej Rady Związków Zawodowych”. W tym, że utwór ten został nagrodzony przez „węgierską CRZZ”, nie ma nic dziwnego. Mówi o produkcji, o kadrach, o budzeniu się świadomości klasowej wśród tych kadr, wreszcie o różnych sprawkach socjalno-bytowych robotników na terenie pewnego, ściśle określonego zakładu pracy. Ukazuje poszczególne członków załogi fabrycznej przy warsztacie i przy biurku, w czasie wieceu i w najistotniejszych dla tego utworu momentach podpiswania pożyczki narodowej. Cały ten ładunek ideologiczno-społeczny rozmieszczony jest umiejętnie, przepłotany krótkimi, dosadnymi charakterystykami mnóstwa postaci — ale wszystko to razem bynajmniej nie tworzy powieści. Jest to natomiast reportaży żywo i efektywnie zmontowany. Nieporozumienie zaczyna się od tytułu — „Fabryka budzi się” — który jak na powieść jest nazbyt już deklaratywny i „opatologiczny”, pod czas gdy do reportażu pasuje znakomicie. Jeśli chodzi z kolei o fabułę, jest ona tak prosta, tak nie-

skomplikowana, że gdyby nie doskonałe skądinąd „dygresje personalne”, nie starczyłoby tego nie tylko na powieść, ale nawet i na nowelę.

Sandor Gaal, dawniej majster i przewodnik pracy, obecnie sekretarz organizacji partyjnej, wczesnym rankiem ze świeżo przydzielonego mu mieszkania, w którym mieszka wraz z żoną i dwójgim dziećmi, wyrusza do fabryki, gdzie w związku z ogłoszeniem subskrypcji pożyczki narodowej panuje szczególny, niemal świąteczny nastrój. Sandor Gaal przemawia na zorganizowanym ad hoc wieceu, rozmawia z wielu pracownikami, przechodząc z oddziału do oddziału, agitując, zachęca, interesuje się nastrojami, panującymi wśród robotników. Wreszcie pod koniec dnia, gdy wraz z nim dowiadujemy się, że „Neptun” złożył największą sumę pożyczki spośród trzech istniejących w tym mieście zakładów produkcyjnych, Sandor Gaal wraca do domu zmęczony, ale zadowolony, bo z tym przeświadczeniem, że swym autorytetem i postawą również częściowo przyczynił się do tego triumfu fabryki.

Najistotniejszą cechą utworu Ivén Egrý są właśnie owe „dygresje personalne”, krótkie, plastyczne i trafne, oparte z pewnością na autopsji, takie właśnie, jakich wymaga dobry reportaży. Książka liczy sobie zaledwie 188 stron, a występuje w niej — jeśli się nie mylić — ponad 80 osób — prawie cała załoga „Neptuna” — i niemal każda z wymienionych postaci ma swą króciutką charakterystykę, ot, jakby parę pociągnięć ołówkiem zdolnego rysownika. Sylwetki robotników i pracowników umysłowych przesuwają się przed nami nby w kalejdoskopie.

Przechodzimy przez działy fabryki jak gdyby z kamerą filmową, obserwując wycinki życia zakładowego. Czasem towarzyszy nam Sandor Gaal, niekiedy tylko autorka, ale zawsze znajdujemy się wśród najżywościjszych zagadnień nurtujących poszczególne członków załogi. Są tu pracownicy wzorowi, ideowcy, bezpartyjni, obojętni, zacofani, są „bumelan-ci”, szkodnicy i wręcz sabotażyści.

Jest rzeczą zastanawiającą, że w większości współczesnych utworów powieściowych typu realistycznego najwyżej najbardziej przekonująco odtworzone są po stacie, z którymi autorzy nie solidaryzują się, potępiają je w mniej lub więcej zdecydowany sposób, faworyzując natomiast grupę bohaterów pozytywnych, którzy wychodzą blado, sztucznie, owiani patosem, sprawiając wrażenie nakreślonych manekinów.

W reportaży — „niepowieści” Ivén Egrý zjawisko to występuje bardzo wyraźnie. Do najciekawszych sylwetek należą tu bezsprzecznie nie pełni entuzjazmu przewodnicy pracy, łącznie z awansowanym Sandorem Gaalem, ale ci ludzie z fabryki, co do których autorka miała sporo zastrzeżeń. A więc stary Köver, portier, którego ciężkie życie nauczyło klaniać się nisko panom dyrektorom i tak już z tym przyzwyczajeniem wszedł w nową epokę. Dalej piękna i wytworna Edyta Zach, sekretarka Gaala, zdyscyplinowana i doskonała urzędniczka, którą mimo to Sandor postanawia przesunąć do innego działu, bo jest zbyt tajemnicza i klasowo obca, a poza tym... kto wie, czy jej dalsza współpraca z Sandorem nie zagroziłaby szczęściu małżeńskiemu pani Margit Gaal. Oto trójka

inżynierów i dyrektorów „Neptuna” — Fülöp, Müller i Berényi, których poczynania nie przyczyniają się do splendoru fabryki. Związczą kapitalny typ karierowicza i nadgorliwca stworzyła autorka w postaci Berényiego. Można by jeszcze długo wymieniać poszczególne sylwetki ludzi z „Neptuna”. Wspomnę tylko o miłym Karesi Galambos, z profesji strażaku zakładowym, a z powołania pocie, który życie „Neptuna” ubierał w mowę wiazaną; o sympatycznym głównym księgowym — Turoczy, który pierwszy poznał się na prawdziwej „wartości” dyr. Berényiego. Mógłbym mówić o Belli Szombathy — przewodniczącym „węgierskiego ZMP” — „Szi” — o odcienianym prasowaczu Karolu Szuroni, o kombinatorze Erdelyiowej, o „bażancie” Lakosu, o wielu uczciwych i rzetelnych robotnikach i robotnicach, jak Istvan Elek, Fontagyova, Siska, Kalman itd.

Wędrowka po fabryce naczyń emaliowanych „Neptun”, którą odbywamy z Ivén Egrý, jest interesująca i nawet kształcąca, a że pozostawia po sobie pewien chaos, nie w tym dziwnego — sprawa to dynamika i szczególny rytm życia zbiorowego, panujący zazwyczaj w zakładach produkcyjnych. Uchwycenie tej dynamiki i rytmu — to po świetnych „dygresjach personalnych” drugi zasadniczy plus omawianego reportaży.

Pod adresem tłumacza wysuwamy pewien zarzut. Stanowczo coś jest nie w porządku z transkrypcją nazwisk węgierskich. Nawet fakt, że jest ich w tym utworze wyjątkowo dużo, nie usprawiedliwia stosowania dziwnej mieszanki — że tak powiem — „fonetyczno-autentycznej”.

G. K.

Redaktor Naczelny: Bolesław Piasecki. Komitet Redakcyjny: Jerzy Hagmajer, Dominik Horodyski, Wojciech Kętrzyński, Janina Kolendo, Mieczysław Kurzyński, Zygmunta Lichniak, Konstanty Lubiński, Andrzej Micewski, Zygmunta Przetakiewicz, Ryszard Reiff, Jan Szwykowski.

Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43 I p. tel. 880 71 880 26 Konto PKO — Nr 1 277
Sekretarz redakcji przyjmie podzielnice prócz wtorków i czwartków godz. 11 — 13

Wydawca: Kolegium Redakcyjne
Prenumerata miesięczna 1 90 zł, kwartalna 5 40 zł, półroczna 10 00 zł
Drukarnia Akcydensowa Warszawa Tamka 3, Zam. 1196, 3-B-14195